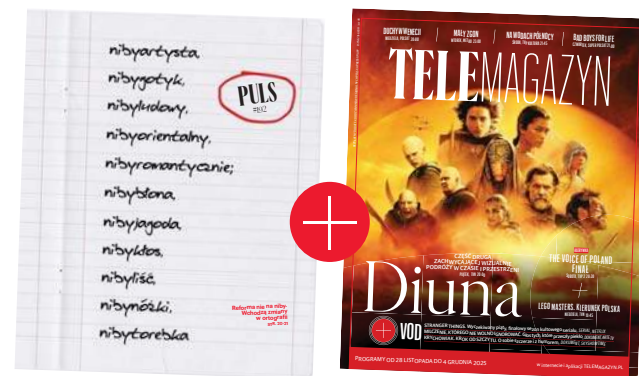


magazyn REJSY *razem z dodatkami*

Dziś w „Rejsach” rozmawiamy z ludźmi kultury

● Pisarka Eliza Kącka, człowiek teatru Adam Orzechowski i wokalistka młodego pokolenia o.Lu

PLUS TELEMAGAZYN z programem TV oraz zapowiedziami najciekawszych programów



Dziennik Bałtycki

80 LAT

Piątek
28.11.2025

www.dziennikbaltycki.pl

Nr 276 (24 637) // Rok 80
Cena 6,50 zł (w tym 8% VAT)

Gryps ukryty w butelce.
Opowieść o odkrywaniu prawdy
str. 7-8



73. Plebiscyt Sportowy
Przedstawiamy
Jakuba Szymańskiego
str. 9

Droga Krajowa 55
- czy to będzie
Nadwiślański Korytarz
Transportowy?
str. 15-16



FOT. R. KONCZYŃSKI

Magazyn Puls

Na potęgę łykamy suplementy i mity o superżywności.
Co z tego wynika?
str. 22

HAZARD

Odwiedziliśmy nielegalny salon gier

Dawne kioski Ruchu, upadłe sklepiki, punkty rzemieślnicze. Na ich witrynach świecą małe, kolorowe neony „Open”. Okna zaklejone papierem, na drzwiach kartka: „Zadzwoń domofonem i czekaj na otwarcie”. W drodze do pracy mijam cztery takie miejsca. Pierwszy na ulicy Łagiewniki, kolejny przy Podwalu Staromiejskim, następny przy Długich Ogrodach, ostatni przy Siennickiej. W całym Gdańsku z pewnością jest ich znacznie więcej.
Czytaj str. 10

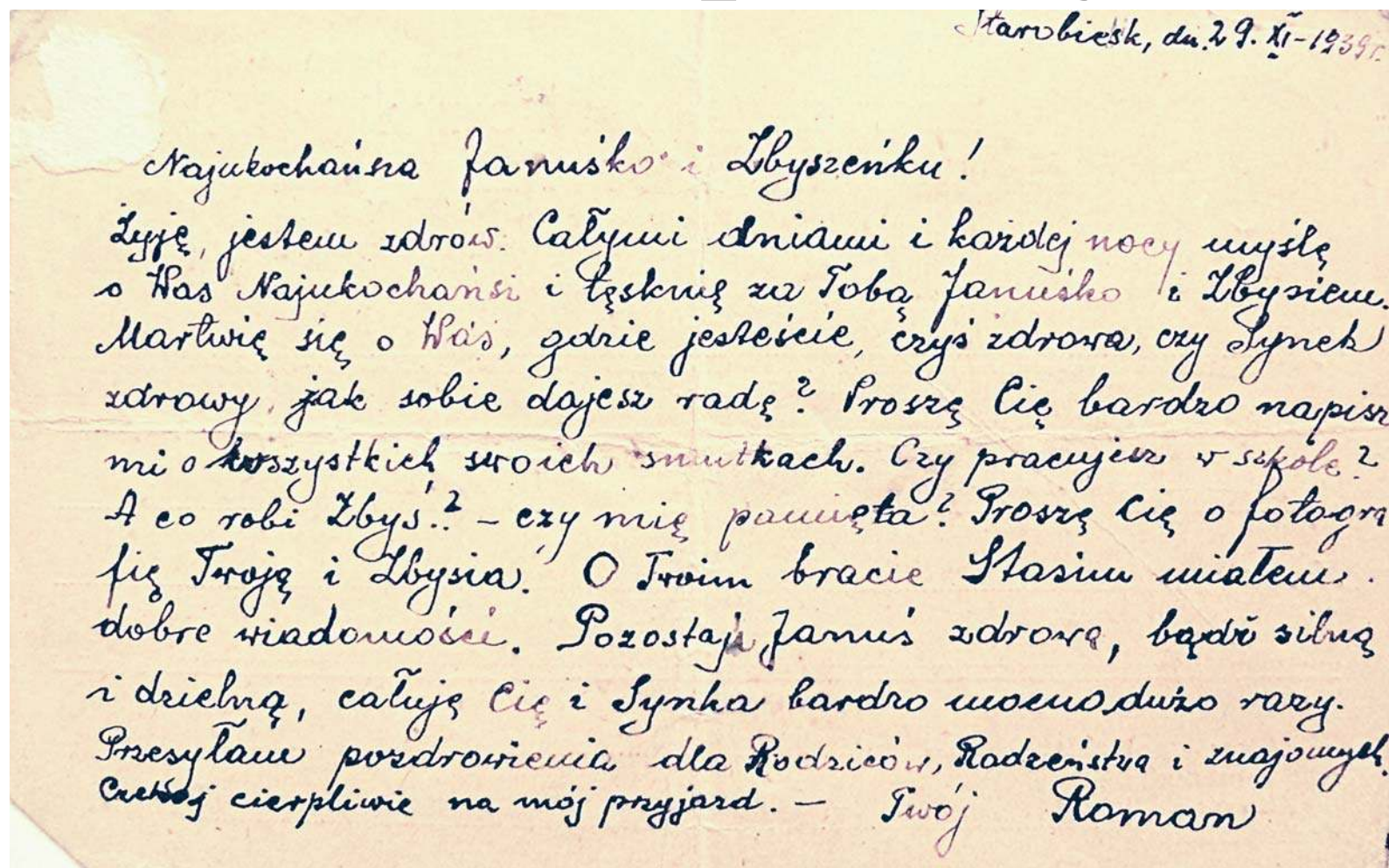
FELIETON NA FALI

Rozdaliśmy Wyróżnienia 80-lecia

Jubileusz to też dobra okazja, by rozrzeć się wokół i zobaczyć tych, którzy – podobnie jak my – są na Pomorzu tak długo, że aż stali się jego naturalną częścią. Trochę jak powietrze: niewidoczne, ale niezbędne.
Czytaj str. 2

ROZMOWA O OBOWIĄZKACH WOBEC HISTORII I ZACHOWANIU TOŻSAMOŚCI

Nie stracić pamięci...



FOT. ISW

- Z naszego polskiego punktu widzenia nie do pomyślenia jest, by można było handlować tymi listami – tak historyk, dr Bartosz Gondek, dyrektor Instytutu Strat Wojennych, mówi o próbie przeprowadzenia przez Dom Aukcyjny Felzmann aukcji pamiątek i dokumentów pozostałych po ofiarach II wojny światowej. Wśród nich znalazła się prywatna korespondencja ofiar zbrodni katyńskiej **str. 4-6**

Nr ISSN 2353-6160

Nr indeksu 350-028



TYDZIEŃ Z NASZĄ GAZETĄ

SOBOTA ● Będzie się działo, czyli premiery i zapowiedzi	PONIEDZIAŁEK ● Najważniejsze informacje sportowe z weekendu	WTOREK ● Strefa biznesu – informacje i analizy gospodarcze	ŚRODA ● Porady zdrowotne – medycyna, psychologia	CZWARTEK ● Coś dla miłośników historii kryminalnych...	PIĄTEK ● Cotygodniowe wydanie magazynu Puls
---	---	--	--	--	---

ZAMÓW PRENUMERATĘ: tel. 58 728 08 17 lub prenumerata@prasa.gda.pl, prenumerata@dziennikbaltycki.pl

19 maja 1945 roku, ledwie dziesięć dni po zakończeniu II wojny światowej w Europie. Gdańskie Śródmieście wyglądało wtedy jak chaotyczne morze cegieł, w powietrzu unosił się pył i smród, wszystkiego brakowało. A jednak tego dnia, w tym pejzażu ruin i gehenny, wyszedł na świat pierwszy numer Dziennika Bałtyckiego.

Pomorze rodziło się wtedy od nowa. Kaszubi wracali do swoich korzeni, repatrianci z Buga układali sobie życie na nieznaną ziemi, a Niemcy opuszczali miasto w pośpiechu.

W tym roku Dziennik Bałtycki świętuje swoje 80-lecie. I choć przez te osiem dekad świat mediów przeszedł wielką, cyfrową rewolucję, my wciąż pozostajemy największym dziennikiem na Pomorzu. Tylko że teraz zamiast pachnących farb kolumn, najczęściej czytacie nas na ekranach telefonów. Pierwszym redaktorem sprzed 80 lat trudno byłoby pewnie uwierzyć, że gazeta stanie się czymś, co mieści się w kieszeni i świecie.

W roku jubileuszu przygotowaliśmy wystawę, którą mogliście Państwo oglądać w tym roku w Muzeum II Wojny Światowej, później w Europejskim Centrum Solidarności, oraz na Festiwalu Filmowym w Gdyni.

Ale jubileusz to też dobra okazja, by rozejrzeć się wokół i zobaczyć tych, którzy – podobnie jak my – są na Pomorzu tak długo, że aż stali się jego naturalną częścią. Trochę jak powietrze: niewidoczne, ale niezbędne. Nie zawsze o nich myślimy, ale gdyby na-

FELIETON
NA FALI

Maciej Sandecki,
redaktor naczelny
„Dziennika Bałtyckiego”



NA JUBILEUSZ DZIENNIKA ROZDALIŚMY WYRÓŻNIENIA 80-LECIA

gle zniknęli, wszyscy poculi-
byśmy tę pustkę.

W czwartkowy wieczór podczas Gali Plebiscytu Nasze Dobre z Pomorza, przyznaliśmy również Wyróżnienia 80-lecia Dziennika Bałtyckiego. Obdarowaliśmy nimi firmy oraz instytucje, które podobnie jak Dziennik, powstały wiele dekad temu, ale silnie zakorzeniły się w krajobrazie biznesowym i społecznym Pomorza, stając się dla niego wręcz emblematyczne.

Pierwszym z wyróżnionych został Port Lotniczy Gdańsk im. Lecha Wałęsy – nasza pomorska brama na świat. Miejsce, w którym zaczynają się i kończą podróże: wakacyjne, biznesowe,

życiowe. To właśnie lotnisko przez lata spinało region z europejskimi metropoliami i było jednym z motorów jego rozwoju.

Drugie wyróżnienie trafiło w ręce Uniwersytetu Gdańskiego. Pięćdziesiąt lat nieustannego kształcenia, dziesiątki tysięcy absolwentek i absolwentów, którzy tworzą pomorską inteligencję, biznes, kulturę oraz instytucje publiczne. UG to nie tylko uczelnia – to tygiel, w którym kształtuje się przyszłość regionu.

Nie sposób pominąć Portu Gdańsk – największego morskiego portu w Polsce, który w ostatnich latach przeżywa dynamiczny rozkwit. Rekor-

dowe inwestycje, rozwój terminali, nowe nabrzeża, lepsza infrastruktura. A przy tym wszystkim rola strategiczna: bezpieczeństwo energetyczne i militarne, nie tylko dla Polski, ale dla całej części Europy.

Sercem tożsamości Pomorza jest od sześciu dekad Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie, strażnik języka, kultury i pamięci. Dzięki niemu region ma twarz, melodię i rytm zakorzeniony w tradycji.

A gdzie kultura – tam Teatr Muzyczny w Gdyni. Instytucja, której nie trzeba przedstawiać nikomu. To od lat miejsce, gdzie sztuka spotyka się z rozmachem, a Pomorze ma swoją artystyczną wizytówkę.

Wśród wyróżnionych znalazła się także Polpharma – największy polski producent leków. Firma, która udowadnia, że innowacja i odpowiedzialność nie muszą się wykluczać, a Pomorze może być ważnym graczem na farmaceutycznej mapie Europy.

I wreszcie Drutex z Bytowa – marka, która z lokalnego przedsiębiorstwa wyrosła na jednego z największych europejskich producentów okien i stolarki. Firma, która przebojowo zdobyła europejskie rynki, łącząc lokalne korzenie z globalnymi ambicjami.

Przyznacie, że trudno wyobrazić sobie Pomorze bez tych wszystkich instytucji i firm. Są jak fundamenty niewidoczne na pierwszy rzut oka, ale trzymające całą konstrukcję regionu.

A my? Cóż... mamy nadzieję, że podobnie myślicie o Dzienniku Bałtyckim. W końcu też jesteśmy tu od pokoleń.

POGODA NA WEEKEND

Piątek

4°C
1°C

Wiatr pld.-zach.
22 km/h

Uwaga
Pochmurno

Sobota

4°C
2°C

Wiatr pld.-zach.
17 km/h

Uwaga
Przejściowe opady

Niedziela

4°C
0°C

Wiatr pld.
18 km/h

Uwaga
Zachmurzenie duże

WAŻNE TELEFONY

800 190 590

– numer infolinii NFZ
dotyczącej postępowania w sytuacji
podejrzenia zakażenia koronawirusem

605 602 195

– telefon alarmowy WSSE: służy do powiadamiania
o nagłych sytuacjach zagrożenia
sanitarno-epidemiologicznego

58 77 63 444

– infolinia w sprawie koronawirusa,
czynna w dni powszednie
od godz. 7.00 do godz. 15.00



FOT. PRZEMEK ŚWIDERSKI

FOTOZAGADKA

Kto zgadnie, jaki obiekt widać na fotografii?

Tym razem z powietrza uchwycony został fragment znanego na Pomorzu obiektu historycznego.

Podpowiemy tylko tyle, że na zdjęciu widać fragment większej całości, która pełni rolę historycznego symbolu.

Tradycyjnie, rozwiązanie zagadki będzie można znaleźć w weekend na naszej stronie internetowej dziennikbaltycki.pl oraz na redakcyjnym Facebooku.
(AT)

KURSY WALUT

27.11.2025

Kupno/sprzedaż walut Kantor Green, tel. 58 346 02 48,
Wrzeszcz przy Manhattanie, Dmowskiego,
Grunwaldzka, Morena Carrefour, Rumia Auchan

EUR	420/425 (+)	GBP	478/485 (+)
USD	362/368 (-)	CHF	449/455 (-)
GBP	478/485 (+)		
CHF	449/455 (-)		

Kantor Max, Gdańsk, ul. Jagiellońska

EUR	420/425 (+)
USD	362/368 (-)
GBP	478/485 (+)
CHF	449/455 (-)

(+) wzrost ceny w stosunku do notowania poprzedniego, (-) spadek ceny w stosunku do notowania poprzedniego, (o) bez zmian

DYŻURNY
„DZIENNIKA BAŁTYCKIEGO”

Pracuję w dziale wydarzeń „Dziennika Bałtyckiego” i czekam na Państwa listy pod adresem:
martyna.kucybała@polskapress.pl

Martyna
Kucybała



POLSKA i ŚWIAT

PROKURATURA

Śląski wydział Prokuratury Krajowej sporządził pierwszy akt oskarżenia w sprawie nieprawidłowości w dawnej uczelni Collegium Humanum. Objął on 29 osób. Wśród oskarżonych są m.in. politycy, rektorzy wyższych uczelni, profesorowie i wykładowcy, a także funkcjonariusze Państwowej Straży Pożarnej – podała PK.

„

Jestem przekonany, że postępowanie sądowe wykaże wszystkie okoliczności sprawy

Jacek Sutryk, prezydent Wrocławia

Pierwszy śmigłowiec AW-149 z polskiej linii produkcyjnej

oprac. Anna Nagel
Nowy Glinnik

Do 25. Brygady Kawalerii Powietrznej trafił pierwszy wielozadaniowy śmigłowiec AW-149 z polskiej linii produkcyjnej.

W czwartek na lotnisku wojskowym w Nowym Glinniku niedaleko Tomaszowa Mazowieckiego szef MON Władysław Kosiniak-Kamysz wziął udział w uroczystości przekazania ulokowanemu tam dywizjonowi 25. Brygady Kawalerii Powietrznej śmigłowca AW-149 z polskiej linii produkcyjnej. Maszyna w całości powstała w zakładach PZL-Świdnik, która jest częścią włoskiego koncernu Leonardo.

- To zawsze jest wielki moment, kiedy kolejny sprzęt trafia do polskiej armii. Dziś

do 25. Brygady Kawalerii Powietrznej trafia pierwszy wyprodukowany w Polsce, w PZL-Świdnik, śmigłowiec AW-149. To bardzo dobry, dobrze wyposażony i produkowany w Polsce śmigłowiec. To pokazuje, że wojsko potrzebuje modyfikacji sprzętu i transformacji - powiedział szef MON.

Pierwsze 10 maszyn w ramach zawartego w 2022 r. kontraktu zostało wyprodukowanych we Włoszech, a kolejne 22 powstanie w PZL-Świdnik.

- Będę kontynuował dobre projekty. AW149 to jest nowy śmigłowiec, wielozadaniowy, który nie dość, że powstaje z naszymi sojusznikami z Włoch, to jest jeszcze produkowany w Polsce. Pierwsze 10 śmigłowców z 32 trafiło do nas z Włoch, ale kolejne 22, w tym



FOT. PAP/MARIAN ZUBRZYCKI

Władysław Kosiniak-Kamysz wziął udział w uroczystości przekazania 25. Brygadzie Kawalerii Powietrznej śmigłowca AW-149 z polskiej linii produkcyjnej

ten, który dziś jest prezentowany i kolejne, będą wyprodukowane w Polsce. Rola tego śmigłowca, jego zadania to wsparcie pola walki, ewakuacja medyczna - to są działania desantowe, transportowe czy logistyczne. Jest dobrze wyposażony: w systemy obserwacji, łączności czy uzbrojenie - mó-

wił Kosiniak-Kamysz podczas pobytu w jednostce.

Zgodnie z umową z 2022 roku, dotyczącą dostawy 32 śmigłowców AW-149 wraz z pakietami logistycznym i szkoleniowo-symulatorowym, jej wykonawcą, Wytwórnią Sprzętu Komunikacyjnego PZL-Świdnik S.A. (WSK), w ra-

mach wartości umowy zobowiązany został do ustanowienia linii produkcyjnej śmigłowców AW-149 w zakładzie w Świdniku. Pierwszy śmigłowiec wyprodukowany w WSK „PZL-Świdnik” S.A. to jedenaście śmigłowców wyprodukowanych w ramach realizacji umowy. Dzięki nowej linii produkcyjnej do 2029 roku kolejne 21 śmigłowców AW-149 ze Świdnika zasili szeregi Wojska Polskiego.

- Tak jak już mówiłem, będę kontynuował dobre projekty dla Wojska Polskiego i otwierał nowe, tak jak wczoraj program Orka. (...) Dziękuję wszystkim, którzy przyczynili się do tego sukcesu. Dziękuję pilotom i personelowi naziemnemu, dowództwu 25. Brygady Kawalerii Powietrznej. Nabywanie sprzętu jest bardzo ważne, ale tak samo ważne

jest przygotowanie całego personelu - zaznaczył minister obrony narodowej.

Szef PZL-Świdnik Bartosz Śliwa poinformował, że pierwszy śmigłowiec do 25. BKP trafił po 15 miesiącach od podpisania kontraktu, a po 20 miesiącach w polskim zakładzie stworzono pełne zdolności produkcyjne. Do tej pory do Nowego Glinnika przekazano 11 śmigłowców AW-149. Maszyny są zdolne do realizacji lotów w dzień i w nocy z szerokim zakresem zastosowania.

Umowa o wartości 8,25 mld zł brutto na dostawę 32 śmigłowców wielozadaniowych AW-149 dla Sił Zbrojnych RP została podpisana 1 lipca 2022 r. Istotną częścią kontraktu było utworzenie i uruchomienie linii produkcyjnej w PZL-Świdnik. PAP

MATERIAL INFORMACYJNY ORLEN

0011430041

Wodór napędza zmianę

Transformacja energetyczna przyspiesza, a wodór staje się jednym z kluczowych elementów globalnej strategii ograniczania emisji CO₂. Podczas jubileuszowej, 10. edycji Open Eyes Economy Summit w Krakowie ekspertki ORLENU opowiedziały o rosnącej roli tego pierwiastka. Dyskusja pokazała, że wodór przestaje być futurystyczną wizją - to realne narzędzie transformacji, wdrażane już dziś.

Dlaczego świat stawia na wodór?

Jednym z głównych tematów tegorocznego OEES była transformacja energetyczna - nie tylko w wymiarze technologicznym, ale także gospodarczym, społecznym i biznesowym. Wątek wodoru pojawiał się w dyskusjach wielokrotnie, bo choć sam pierwiastek nie jest niczym nowym, jego potencjał został w ostatnich latach odkryty na nowo.

Wodór, najpowszechniejszy pierwiastek we wszechświecie, ma wyjątkowo wysoką wartość energetyczną. Podczas panelu ekspertki przypominały, że z jednego kilograma wodoru można uzyskać ponad trzykrotnie więcej energii niż z kilograma benzyny. Jego efektywność jest również wyższa niż w przypadku metanu, węgla czy biomasy. A do tego spalanie wodoru nie generuje szkodliwych substancji, takich jak dwutlenek węgla, tlenki siarki czy azotu, lecz wyłącznie parę wodną i wodę.

Technologie ORLENU: od tradycyjnego przemysłu po nowoczesną energetykę
ORLEN wykorzystuje wodór od wielu lat, między innymi w rafinerii od produkcji paliw konwencjonalnych i w przemyśle nawozowym. Obecnie firma koncentruje się jednak na ograniczaniu emisji z własnych zakładów przemysłowych, modernizacji instalacji oraz zwiększeniu udziału technologii niskoemisyjnych.

- Stawiamy na technologie elektrolizy wody, z której otrzymujemy wodór zeroemisyjny, odnawialny. Mamy też w portfolio inne technologie niskoemisyjne, jak np. przetwarzanie odpadów komunalnych, w których również jest dużo wodoru. Dzięki technologii zgazowania ten wodór możemy odzyskać - mówiła podczas panelu Dominika Niewierska, dyrektorka biura koordynacji i wsparcia biopaliw i wodoru.

Ekspertka zwracała uwagę, że choć wodór ma



ogromny potencjał, branża odchodzi już od narracji przedstawiającej go jako „świętego Graala”. Realne podejście polega na analizie, gdzie wodór faktycznie przynosi największą wartość: w przemyśle chemicznym, rafineryjnym czy transporcie.

W tym ostatnim obszarze ORLEN rozwija sieć stacji tankowania wodoru. Zasilają one flotę zeroemisyjnych autobusów w Poznaniu, Katowicach oraz Wałbrzychu. Kraków wkrótce dołączy do grona miast posiadających taką infrastrukturę.

Edukacja, praktyka i wizje przyszłości - Akademia Wodorowa ORLEN

Szybki rozwój sektora wodorowego wymaga nowych kompetencji. To właśnie brak kadr stał się impulsem do powołania Akademii Wodorowej ORLEN - programu łączącego wiedzę teoretyczną z praktycznymi zajęciami, wizytami w zakładach przemysłowych oraz kontaktami z ekspertami branżowymi. Do tej pory odbyły się trzy edycje programu.

- Akademia Wodorowa dała mi naprawdę bardzo

dużą możliwość rozwoju, zarówno w teorii, jak i w praktyce. Mieliliśmy możliwość odwiedzenia wielu różnych firm i uczestniczenia w wykładach na Politechnice Krakowskiej. Zobaczyliśmy zakłady produkcyjne - instalacje w Płocku czy Anwil będący jednym z największych producentów nawozów azotowych - mówiła Julia Karweta, uczestniczka drugiej edycji Akademii Wodorowej, która obecnie pracuje w zespole koordynacji projektów biopaliwowych w ORLENIE.

Polska na wodorowej mapie świata - potencjał większy, niż się wydaje

Mało kto zdaje sobie sprawę, że Polska jest jednym z największych producentów wodoru na świecie - głównie dzięki rozwiniętemu przemysłowi chemicznemu. Choć dotąd był to wodór szary, dziś podejmowane są działania zmierzające do jego dekarbonizacji.

ORLEN, dzięki zapleczu technologicznemu, know-how i wieloletniemu doświadczeniu ma ambicję stać się jednym z liderów europejskiej transformacji wodorowej. Inwestycje w elektrolizery, rozwój infrastruktury, współpraca międzynarodowa oraz programy edukacyjne stanowią fundament, na którym może powstać silny, konkurencyjny sektor.

Panel podczas OEES pokazał jedno - wodór jest już realnie obecny w polskiej energetyce, przemyśle i transporcie. To technologia, która łączy dekarbonizację z modernizacją gospodarki i tworzeniem nowych miejsc pracy.

Polska, dzięki działaniom ORLENU, ma szansę nie tylko nadążyć za europejską transformacją, ale odgrywać w niej ważną rolę. Wodór staje się jednym z filarów tej zmiany, a Akademia Wodorowa - sposobem na to, by nie zabrakło specjalistów, którzy tę przyszłość zbudują.

HISTORIA

Gryps ukryty w butelce. Strzelnica wojskowa w Lęborku leży za stadionem, tuż za budynkami dzisiejszej jednostki wojskowej, która w czasie II wojny pełniła rolę szkoły SS. Po ponad 80 latach budynki nadal służą żołnierzom, ale już polskim. I znowu jest wojna, tyle że za naszą wschodnią granicą. Z tego powodu ani jednostki ani strzelnicy nie można fotografować. Słysząc chichot historii. **STR. 7-8**



FOT. R. GEBUS

DROGA 55

Od rozmów na korytarzu, do korytarza transportowego
To droga krajowa, która miejscami wygląda zgodnie z nazwą, a miejscami jak droga lokalna. Taka trochę „gorsza siostra” krajówek w naszym regionie. **STR. 15-16**

LICZYMY STRATY I GŁOSIMY ŚWIADECTWO

– Skoro już 80 lat liczymy skrupulatnie straty niemieckie i znamy je dosyć dobrze, to chcemy pójść dalej. Czas popatrzeć na tego drugiego agresora, na drugiego okupanta, który wyciągnął po nas rękę 17 września 1939 roku, a następnie w majestacie prawa międzynarodowego rozsiadł się u nas wygodnie do roku 1989, a nawet do 1991 – deklaruje dr Bartosz Gondek, historyk, dyrektor Instytutu Strat Wojennych im. Jana Karskiego

Dariusz Olejniczak

Rozpoczynając tę rozmowę nie sposób pominąć milczeniem próbę przeprowadzenia przez Dom Aukcyjny Felzmann aukcji pamiątek i dokumentów, między innymi po więźniach niemieckich obozów koncentracyjnych. Ostatecznie, po protestach między innymi polskich władz, do aukcji nie doszło. Sprzeciw wobec tej aukcji wyraził też Instytut Strat Wojennych im. Jana Karskiego. Tak, nie mogliśmy przejść do porządku nad tym, co się wydarzyło. Od początku kierowania przeze mnie instytutem postanowiłem – oprócz tych standardowych kierunków działalności, czyli zajmowania się materialnymi i osobowymi stratami wojennymi – skierować naszą uwagę na straty tożsamościowe. W przypadku próby przeprowadzenia tej aukcji mieliśmy do czynienia właśnie z taką stratą, czyli z zacieraniem się pamięci, wrażliwości i odrzuceniem funkcjonowania w ramach norm etycznych. Jako historyk, ale także kolekcjoner, obserwuję od kilku lat coraz większy „ruch w interesie” w segmencie pamiątek martyrologicznych. To staje się coraz bardziej modne. Mówiąc wprost, w skali globalnej, społeczeństwa porzucają przyzwoitość. Wystarczy wejść na popularne serwisy aukcyjne, by znaleźć bardzo

nych z martyrologią, które są dziś atrakcyjnym towarem. To, co się stało w Niemczech, to jest absolutnie szczyt skandalu, jeśli weźmie się pod uwagę liczbę oferowanych na aukcji przedmiotów. Było ich ponad sześćset i znalazły się wśród nich prywatne listy ofiar katyńskich. Z naszego, polskiego punktu widzenia nie do pomyślenia jest, by można było handlować tymi listami. Tak samo, jak nie do pomyślenia jest handel dokumentami medycznymi. W tym przypadku to wstrząsający dokument zawierający drastyczne w swoim wydźwięku informacje – zalecenia dotyczące przymusowej sterylizacji więźnia. To także dane medyczne i osobowe podlegające ochronie. Takie rzeczy nie powinny trafiać na sprzedaż za kilkaset euro. Teraz w przestrzeni medialnej zaczęły pojawiać się argumenty historyków i archiwistów, że podobne podejście utrudni handel artefaktami, a co za tym idzie, trudniejsze będzie poznawanie historii i docieranie do różnych dokumentów. Ja się na taką argumentację w tym przypadku nie godzę, bo mówimy o zagadnieniach ze sfery etyki i moralności. Nie można usprawiedliwiać empiryzmem rzeczy, które są po prostu związane z podstawowymi zasadami humanizmu i przyzwoitości.



Bartosz Gondek: Instytut Strat Wojennych zajmuje się stratami wojennymi w każdym wymiarze

To wydaje się na tyle oczywiste, że nie wymaga jakiejś gorącej debaty, ale okazuje się, że nie jest oczywiste dla wszystkich...

O tej aukcji rozmawiałem z ministrem Lechem Parellem, szefem Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Repre-

sjonowanych. Zastanawialiśmy się, gdzie kończy się empiizm, a znaczenia nabierają takie sfery jak etyka, ludzka przyzwoitość. Dla nas to oczywiste, że handel tego rodzaju pamiątkami jest moralnie naganny. Poza tym, kiedy zaczniemy ten proceder rozbie-

rać na czynniki pierwsze, to okaże się, że mamy do czynienia z kwestiami, które na początku nie wychodzą na pierwszy plan, a mają ogromne znaczenie. Chodzi o elementy prawne, ochronę danych osobowych, danych wrażliwych, o tajemnicę lekarską. Nie można dokumentu medycznego traktować, jak li tylko pamiątkę historyczną, skoro on zawiera wszystkie te elementy sankcjonowane prawem w całej Europie. Skoro tak bardzo chronimy swoje dane na bilecie miesięcznym, czy zastrzegamy nazwiska na domofonach, to dlaczego w tym przypadku ma funkcjonować wolny rynek dokumentów zawierających imiona, nazwiska, daty i miejsca urodzenia, obejmujący dokumentację lekarską, czy ogólnie zapis osobistej, ludzkiej tragedii?

Instytut Strat Wojennych opublikował raport opisujący polskie straty wojenne wynikające z działań okupanta niemieckiego. Jego publikacja nie jest jednak ani jedynym celem powstania Instytutu, ani zwieńczeniem jego działań. Przejął pan stery tej instytucji w maju tego roku – jaką miał pan wizję, podejmując się tego zadania? Instytut Strat Wojennych zajmuje się stratami wojennymi w każdym wymiarze. Uwa-

żamy, że powstał raport, o którym nie będziemy rozmawiać w kontekście tego, czy on jest dobry, czy zły. Oczywiście, toczą się dyskusje co do metodologii jego powstania, sposobu naliczeń, co do tego, czy trzeba liczyć straty osobowe, czy też nie. Myśmy przyjęli, że ten dokument po prostu jest. Znajduje się na naszej stronie, mogą go też pozyskać w formie papierowej podmioty instytucjonalne. Temat polskich strat wojennych w II wojnie światowej, poniesionych za sprawą Niemców, jest wnikliwie badany od 80 lat. Więcej – pierwsze wyliczenia strat, jakich Polska doznawała ze strony niemieckiej, powstały jeszcze przed zakończeniem II wojny światowej. Od dziesięcioleci katalogujemy i przeliczamy te straty. Już w przeszłości wystawialiśmy też za nie rachunki. Zatem – skoro już 80 lat liczymy skrupulatnie straty niemieckie i znamy je dosyć dobrze (a ten raport tego dowodzi), to chcemy pójść dalej. Z punktu widzenia Instytutu czas popatrzeć na tego drugiego agresora, na drugiego okupanta, który wyciągnął po nas rękę 17 września 1939 roku, a następnie w majestacie prawa międzynarodowego rozsiadł się u nas wygodnie od roku 1944 do roku 1989, a nawet do 1991, kiedy północna

grupa wojsk sowieckich opuściła Polskę. Przez kilkadziesiąt lat strat poczynionych przez Związek Sowiecki nie wolno było liczyć, a potem zajęliśmy się innymi pilnymi sprawami.

Nastąpi zwrot wektora zainteresowań Instytutu? Porzucacie „flankę niemiecką” i ruszacie na wschód?

Muszę jasno powiedzieć, że zarówno pan premier, jak i szef jego kancelarii, i przede wszystkim minister Parell, mówią, że oczywiście skupiamy się na Rosji bardziej, ale o Niemcach nie zapominamy. Ja podzielam tę opinię i zaznaczam, że nie ma i nie było mowy o tym, że zajmowanie się stratami wyrządzonymi nam w okresie okupacji przez Niemców zupełnie odpuszczamy. Dowodem na to jest reakcja polskiego rządu na próbę przeprowadzenia aukcji, od której zaczęliśmy naszą rozmowę. Trzeba jednak pamiętać, że straty od strony niemieckiej mamy już dość dobrze policzone i udokumentowane. Nie do końca, ale jednak. Wiemy też, co udało się nam do tej pory od Niemców odzyskać. Natomiast jeśli chodzi o stronę rosyjską, a przypominę, że na mocy traktatów międzynarodowych to Rosja, a nie inny kraj jest w całości spadkobiercą ZSRR – o czym oni radzi zapominać – to tam, jeżeli chodzi o rozliczenia, o rzeczy, które zostały i które do Polski nie wróciły, to jest cały czas kwestia bardzo otwarta.

A przecież wiemy o tym, gdzie znajdują się zrabowane nam dzieła sztuki. Czy trafiły do Związku Sowieckiego po 17 września, czy zostały zabrane w wyniku zajęcia polskich ziem przez Armię Czerwoną w toku tak zwanego wyzwalania w latach 1944-1945. Albo na przykład, odbyły podróż przez Niemcy do Związku Sowieckiego i już więcej z tego Związku Sowieckiego nie wróciły.

I teraz nie można mówić o tym, że proces rewindykacyjny w takiej czy innej formie na zachodzie został zakończony, no bo nie zostanie zakończony de facto nigdy, natomiast czas ten proces rozpocząć na wschodzie. Podam tu przykład z branży techniczno-wojskowej. Otóż przez wiele lat uznawało się, że nie zachował się polski sprzęt wojskowy z roku 1939, na przykład sprzęt pancerny. Potem ogromną radością było odszukiwanie różnych strzępów tego sprzętu we Francji, w Norwegii, w Szwecji czy w Finlandii. Natomiast nie jest żadną tajemnicą, że taki sprzęt znajduje się w wielu postsowieckich muzeach na terenie Rosji, no bo został zagarnięty po 17 września.

Dlaczego my o tym milczymy? Ja tego nie mogę zrozumieć.

Dlaczego nie mówi się o tym, że to tam wszystko jest? Dlaczego cały czas poszukujemy choćby samochodów, maszyn czy samolotów na zachodzie, skoro istnieją realne przesłanki, że to wszystko znajduje się na wschodzie? To mi trochę przypomina taką historię, że bardzo chętnie kłócimy się z krzykliwą sąsiadką z naprzeciwka i kopujemy jej czasami w drzwi, ale tego umiśnionego, nieprzyjemnego, mrukliwego sąsiada z czwartego piętra nie dotykamy, no bo jak sąsiadka z nim dyskutowała, no to ją oplotł, a potem pobił. I tutaj chyba mamy do czynienia z podobną analogią.

Ktoś mógłby zastanawiać się, czy o ile od Niemców udało się jednak coś uzyskać, to czy mamy jakiegokolwiek szanse na to, żeby uzyskać cokolwiek ze wschodu?

Bazujemy na dokumentach, które za czasów Jelcyna do nas wróciły, wróciło też wtedy trochę przedmiotów. Mimo to nadal wiemy o skrzyżniach, które do dzisiaj są nieotwarte, które zostały zabrane przez armię sowiecką, a pochodzą z naszych terenów. Dodajmy do tego nieruchomości odebrane naszym rodakom. Zniszczone lub znacjonalizowane zakłady przemysłowe, przejęte wszelakie przedsiębiorstwa. Morze dobra zrabowanego nie tylko na tzw. ziemiach odzyskanych, ale także na przedwojennym polskim Pomorzu czy Śląsku. Wycinkę lasów, niekorzystny kurs rubla transferowego, słynną „korektę graniczną” z 1951 roku, kiedy to ZSRS nie oddał nam nic poza tym, że urokliwy i dziki kawałek Bieszczad za dopiero co przez nas odkryte, niezwykle bogate w węgiel kamienny, „kolano Bugu”. Ta niewinna zamiana zabrała nam – nie przesadzam – miliardy dolarów. Gdzie praca tysięcy Polaków, wywiezionych bez konkretnego powodu z zajmowanych terenów do przymusowej pracy czy łagrów. Można tak długo. Jaki był prawdziwy koszt tak zwanej repatriacji i dlaczego repatrianci, a de facto ekspatrianci, byli pozbawiani znacznej części tego, co chcieli ze sobą zabrać? Mogę wymienić tak bardzo długo. Jeżeli tego nie podsumujemy, jeżeli nie przedstawimy choćby częściowego rachunku, jeżeli nie określimy tych strat, no to trudno będzie dyskutować o tym, czego my tak naprawdę oczekujemy.

Zarówno ten istniejący raport odnoszący się do strat poniesionych za sprawą okupanta niemieckiego, jak i ten wschodni, który z czasem po-



Warszawa, pomnik Kopernika na tle zburzonych budynków przy Nowym Świecie

wstanie, być może pozostaną zestawem naszych krzywd bez gwarancji zadośćuczynienia.

Po potopie szwedzkim dokumentowano straty i to, co wówczas straciliśmy, nie wróciło. Wiemy jednak, co nam zabrali. Skoro udało się też w dużej części udokumentować straty ze strony niemieckiej, to to samo należy zrobić ze stratami poczynionymi nam przez stronę sowiecką, które przeszły obecnie na Rosję. To jest kwestia przyzwyczajenia i odpowiedzialności historycznej, która nie może ulec zatarciu.

Zdaję sobie, rzecz jasna, sprawę z tego, że jest ogrom obszarów badawczych, jeżeli chodzi o wschód, których dotąd nikt nie dotknął, że to, co my w tej chwili zaczynamy, to jest proces równie wieloletni. Uważam, że jeszcze za trzydzieści lat będziemy pracować nad różnego rodzaju wymiarami strat, które zostały poczynione po 17 września i trwały do roku 1989.

Jak próbujemy „łapać” te straty, te wszystkie tematy, nagle się okazuje, że trudno określić dzisiaj, na czym się przede wszystkim skupić. Dlatego stworzymy w Instytucie oczywiście metodologicznie pewną mapę drogową. Ze świadomością, że to początek drogi, że do tej pory zrobione zostało w tej materii niewiele.

Nie mamy tyle czasu, co moi poprzednicy zajmujący się stratami ze strony niemieckiej, bo cały czas wszyscy nas pytają, co się dzieje, kiedy będzie, co z tym raportem rosyjskim. W związku z tym postanowiliśmy robić to trochę inaczej. Przygotowujemy mate-

riały źródłowe dotyczące poszczególnych dziedzin związanych ze stratami wojennymi. Staramy się, żeby one dotyczyły tematyki związanej ze wschodem przede wszystkim, ale bywa, jak na przykład w przypadku materiału źródłowego omawiającego straty w zasobach leśnych Polski, który wyjdzie na przełomie roku, że obejmują zarówno straty niemieckie, jak i sowieckie.

Co będzie zawierał ten dokument, na ile ostateczną formułę przyjmie?

No właśnie. Żeby uzmysłowić sobie, o czym mówimy, warto wspomnieć, że przy okazji opracowywania tego raportu „leśnego” spotykamy się z pewną trudnością, jedną z wielu zresztą. Otóż w okresie PRL wszelkie dane prowadzące na właściwy trop związane ze stratami poniesionymi z winy ZSRS, starannie fałszowano. Robiono wszystko, żeby w przyszłości nie można było mówić o konkretnym wymiarze strat po tej wschodniej stronie. Mamy więc kilkadziesiąt lat zaległości, zacieranie śladów, zamknięte archiwa i mamy jeszcze sąsiada, który zrobi wszystko, żebyśmy nie byli w stanie opracować tego tak dokładnie, jak możemy to zrobić w przypadku tej zachodniej strony. W związku z tym praca jest tym bardziej utrudniona, ale im więcej odkrywamy, im więcej ścieżek przetrzemy, im więcej nici łożymy, tym lepiej dla kolejnych badaczy, którzy będą się tą dziedziną zajmować.

Skoro podejmujecie trudny i obszerny temat strat

MUSIMY UPOWŚZECHNIĆ PRAWDZIWY PRZEKAZ, OPARTY NA UCZCIWYCH BADANIACH, ZGODNY Z PRAWDĄ I NASZĄ RACJĄ STANU

wschodnich, to czy pamiętając o tym, że dziś spora część ówczesnego ZSRR to kraje niepodległe, planujecie współpracę z tamtejszymi instytucjami badawczymi, z tamtejszymi historykami i archiwistami?

Instytut Strat Wojennych to łącznie 30 osób. Trudno nam porównywać się z takimi instytucjami jak Instytut Pileckiego. Z kolei zakres zagadnień, jakimi się zajmujemy, rzeczywiście jest ogromny. Weszliśmy już jednak na taki etap, że bardzo intensywnie rozwijamy współpracę z organizacjami zagranicznymi. Mamy już za sobą pierwszą wspólną konferencję poświęconą stratom wojennym, którą współorganizowaliśmy ze stroną litewską w Wilnie. Litwini są chętni do współpracy, coś w tej kwestii zaczyna się zmieniać na lepsze. Zresztą minister spraw zagranicznych Litwy Kęstutis Budrys powiedział, że trzeba mieć świadomość, iż to jest nasza wspólna historia i pewne rzeczy trzeba zliczyć. Nasi naukowcy pracują też ze stroną ukraińską, co zresztą zaowocowało wyciągnięciem wielu ciekawych rzeczy z tamtejszych archiwów i my dalej te dokumenty dotyczące okupacji sowieckiej, znajdujące się w choćby lwowskich archiwach, pozyskujemy. Czeka nas ogrom pracy, bo tych archiwów jest ogromnie dużo. Każdy polski przedwojenny ośrodek posiada swoje archiwum, które jest swoim tematem i morzem informacji, które należałoby przebadać. Jak dotąd nie było to robione i czas zacząć to zmieniać.

Jaki jest plan działań Instytutu na przyszły rok?

Na przełomie roku zaprezentujemy nasze trzy pierwsze publikacje. Pierwszą z nich będzie zeszyt studiów i materiałów, składający się częściowo z artykułów pokonferencyjnych, a po części z efektów pracy instytutu, pochodzących z ostatniego półroczu. Kolejne dwie publikacje

to materiały źródłowe pozyskane z różnych archiwów. Opracowaliśmy już wspomniane lasy. Wkrótce przyjdzie czas na komunikację i transport, budownictwo. I tak dziedzina po dziedzinie będziemy przygotowywać kolejne opracowania. Mamy w zespole specjalistę, który zajmuje się liczeniem strat i on każdy taki segment będzie sobie potem przeliczał i przekładał na język cyfr. Jako że nie chcemy i uważamy, że szkoda czasu na czekanie na pełne dane latami, będziemy robić to na bieżąco. W ten sposób zbudujemy „raport wschodni”. Z czasem, w miarę pozyskiwania nowych danych, będzie można go scalać i uzupełniać. Mam też nadzieję, że uda się nam zakończyć procedury formalno-prawne związane z zacieśnieniem współpracy ze specjalistkami od Wilna. Są dwie panie, pani doktor i pani profesor, które wyraziły chęć współpracy. Ogromnie się cieszę, bo w zaledwie pół roku udało się wypracować nowy kierunek prac Instytutu. Pojawiają się najlepsze nazwiska w swoich dziedzinach i ci ludzie mówią, że chcą z nami wspólnie działać. To dowód na to, że nie straciliśmy ani dnia. A jeśli chodzi o to, co zrobiliśmy od maja, czyli od momentu powołania mnie na stanowisko dyrektora Instytutu, to mamy na koncie wspomnianą już wyżej dużą naukową konferencję w Wilnie, mamy też prestiżową konferencję poświęconą stratom wojennym przygotowaną razem z Wojskowym Biurem Historycznym. W przyszłym roku chcielibyśmy zorganizować panel związany z metodologią liczenia strat, no bo to też jest temat bardzo dyskusyjny. Ponadto planujemy dwie konferencje związane z tym, w jakim przypadku możemy mówić o stratach wojennych, a kiedy mamy do czynienia ze skutkami wojny. To dość istotne rozróżnienie, a przy tym dość płynne. W kontekście naszej pracy i w ogóle w kontekście pracy badawczej, warto o tym rozmawiać i wszelkie kwestie doprecyzowywać. Dodam jeszcze, że udało się skompletować Radę Instytutu. Na liście, która wkrótce trafi do pana premiera, znalazły się nazwiska takich osobistości świata nauki, jak pani profesor Anna Odrowąż-Coates, pan profesor Andrzej Zawistowski, czy pan profesor Grzegorz Motyka, dyrektor Wojskowego Biura Historycznego.

To dobrze rokuje, jeśli chodzi o możliwości współpracy nie tylko z instytucjami, w których działają wszystkie te

Dokończenie na str. 6

INSTYTUT MUSI EDUKOWAĆ I BRONIĆ PRAWDY

Dokończenie ze str. 5

osoby, ale w ogóle ze środowiskiem naukowym, badawczym w Polsce. Z kim współpracujecie na gruncie rodzimym? Kto już teraz jest najważniejszym partnerem Instytutu po stronie polskiej?

Wola prezesa Rady Ministrów i szefa jego kancelarii jest, aby nasz Instytut współpracował z Urzędem do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych. To dość oczywiste, bo przecież obie te instytucje mają ze sobą wiele wspólnego, poruszają się w podobnych obszarach. Dlatego też, na przykład w kwestii podtrzymywania pamięci o przeszłości powinny się uzupełniać. No i my ten zamysł realizujemy, co uwidoczniło się choćby przy okazji aukcji, od której zaczęliśmy naszą rozmowę, czy wspólnych konkursów.

Przedstawiciele Rady w pewnym sensie będą ambasadorami i rzecznikami Instytutu w swoich środowiskach...

Mam marzenie, by nasz nieduży Instytut stał się kuźnią tematów i kierunków, które będziemy realizować dzięki członkom naszej Rady na uczelniach i w ten sposób zwielokrotnimy moce, „sieciując” naszą pracę. To też jest jakiś pomysł na przyszły rok, zatem patrząc na ogrom obszaru, którym się już zajmujemy, ale także na to, co jest dla mnie szczególnie ważne, czyli tę trzecią falę strat wojennych, którą mamy w tej chwili, czyli te straty tożsamościowe – przejawiające się w zanikaniu przekazu historycznego i zacieraniu się pamięci o naszej historii – to jest to robota nie dla czterech, czy nawet nie dla czterdziestu, tylko dla jeszcze większej liczby osób. No i oczywiście nie zapominamy o upowszechnianiu wiedzy o poniesionych przez Polskę stratach. Wynika to wprost z naszego statutu. Dowodem na to, że tę misję realizujemy, jest choćby wystawa Pamięć Zawarta w Przedmiotach, prezentująca fotografie artefaktów i ich opisy. Zaczęliśmy projektować ją w maju z zamiarem pokazywania w miejscach, w których jest sporo ludzi, potencjalnych odbiorców. Ekspozycja jeździ teraz po Polsce. Pokazaliśmy m.in. pasiak i mówiliśmy, że moralnie i etycznie niedopuszczalny jest handel tego typu przedmiotami. Cóż, minęło kilka

NIE ZAPOMINAMY

O UPOWSZECHNIANIU WIEDZY O PONIESIONYCH PRZEZ POLSKĘ STRATACH. WYNIKA TO WPROST Z NASZEGO STATUTU

miesiący i okazało się, że temat jest jak najbardziej aktualny. Pamięć o historii trzeba absolutnie ze wszystkich sił cały czas podtrzymywać, bo kiedy będziemy społeczeństwem bez pamięci, zatrą się zasady etyczno-moralne i może dojść do strasznych rzeczy.

Ktoś mógłby pomyśleć, że Instytut powołany został nie tylko do udokumentowania poniesionych przez Polskę strat, ale także do wywierania nacisków, czy wręcz bezpośredniego odzyskiwania zagarniętego mienia czy reparacji. Może warto zaakcentować, że nie taka jest wasza rola?

I tutaj bardzo słusznie pan redaktor zauważył, że tak właśnie Instytut jest kojarzony ze względu na to, że poprzedni raport, poświęcony stratom wojennym wynikającym z działalności niemieckich najeźdźców, sprowadzony został do roli zapisu pewnych żądań reparacyjnych. Natomiast, jeżeli spojrzymy na ten raport globalnie, to się okaże, że on zawiera wiele innych treści, które mówią o wymiarze strat, a nie tylko o samych reparacjach. Takie właśnie jest zadanie Instytutu Strat Wojennych. Ma on zajmować się naukowo, ale również popularyzatorsko, stratom wojennymi poniesionymi przez nasz naród, w wymiarze zarówno materialnym, jak i niematerialnym oraz ich skutkami. W obszarze zainteresowania Instytutu jest również to, co dzieje się dziś na polu długotrwałych skutków działań wojennych.

Powiedzmy zatem wprost – jaka jest rola Instytutu Strat Wojennych?

Instytut jest po to, żeby liczyć, podsumowywać i głosić świadectwo. Już w tej chwili, zwłaszcza w świecie pełnym fake newsów i atrakcyjnych, choć pobieżnych nagłówków, pełnym uproszczeń, pojawia się wiele informacji, które są szkodliwym szumem informacyjnym. Ja ostatnio na przykład trafiłem

na stronę, która wylicza, jak to wspaniale Związek Socjowietni dotował Polaków i nie dosyć, że tylu młodych socjowietniaków zginęło na naszej ziemi, żeby nieść nam wolność, to jeszcze tyle nam ofiarowali, żebyśmy mogli dalej żyć. Taka wyjątkowo szkodliwa propaganda, w dodatku dobrze napisana, to bardzo niebezpieczna broń. Bądźmy szczerzy, Rosjanie są świetni, jeśli chodzi o propagandę i PR. I to nie od dziś, nie od wczoraj, potrafili od czasów carycy Katarzyny. Dlatego my musimy przeciwdziałać skutkom tej propagandy na tym obszarze, którym się zajmujemy. Musimy upowszechniać prawdziwy przekaz, oparty na uczciwych badaniach, zgodny z prawdą i naszą racją stanu. Jeśli ktoś pytałby, po co nam Instytut Strat Wojennych osiemdziesiąt lat po wojnie, to ja odpowiadam – właśnie po to. Żebyśmy mieli dobrze uargumentowaną defensywę wobec rosyjskiej propagandy. Żeby, wobec odejścia ostatnich świadków i zacierania się wartości, podtrzymywać pamięć. To wszystko leży w naszym narodowym interesie. ©©

WARTO WIEDZIEĆ

Instytut Strat Wojennych im. Jana Karskiego powołany został 2 grudnia 2021 r. Instytut zajmuje się działalnością badawczą, edukacyjną, wydawniczą oraz popularyzatorską w zakresie wiedzy o konsekwencjach II wojny światowej. W 2022 r. ISW opublikował „Raport o o stratach poniesionych przez Polskę w wyniku agresji i okupacji niemieckiej w czasie II wojny światowej 1939-1945”. Ze spół autorów oszacował szkody wojenne na 6 bln 220 mld 609 mln zł. Informacje o bieżących działaniach ISW oraz treści raportu dostępne są pod adresem: instytutstratwojennych.pl.

KOLEKCJONOWANIE ARCHIWALIÓW WYMAGA MORALNEJ WRAZLIWOŚCI

– Kolekcjonerski rynek archiwalnych dokumentów może być często obarczony moralnymi dylematami
– mówi historyk dr Janusz Sibora

Tomasz Chudzyński

Dom Aukcyjny Felzmann w Neuss chciał sprzedać liczącą 623 artefakty prywatną kolekcję „System terroru część II 1933-1945” w połowie listopada. Pod młotek miały pójść m.in. pamiątki po polskich więźniach niemieckich obozów koncentracyjnych. Tej aukcji nie będzie, przynajmniej na razie.

Listy, kartoteka, telegramy

W kolekcji, którą chciał sprzedać Felzmann, znajdował się m.in. list więźnia z Auschwitz „o bardzo niskim numerze” do adresata w Krakowie. Cena wywoławcza wynosiła 500 euro. Diagnozę lekarską z obozu koncentracyjnego Dachau dotyczącą przymusowej sterylizacji więźnia wyceniono na 400 euro. Karta z kartoteki gestapo z informacją o egzekucji żydowskiego więźnia w getcie Mackheim w lipcu 1942 roku ma cenę wywoławczą 350 euro. W katalogu domu aukcyjnego znajduje się też list z akwarelą namalowaną przez Bronisława Czecha, polskiego narciarza i olimpijczyka zamordowanego w Auschwitz.

Było tam także ponad 20 materiałów dotyczących więźniów obozu koncentracyjnego na Majdanku. Z kolei Urząd do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych przekazał, że Dom Aukcyjny Felzmann miał wystawić na sprzedaż także pamiątki związane z ofiarami zbrodni katyńskiej, między innymi telegram jeńca Umińskiego z obozu w Starobielsku oraz koperta listu jeńca Jana Leszczyńskiego z obozu w Ostaszku.

Redakcja niemieckiej gazety „FAZ” przypomniała także, że pierwsza część tej prywatnej kolekcji została sprzedana sześć lat temu. Kupili je m.in. nabywcy ze Stanów Zjednoczonych.

Wycofali się po skandalu

Dom wycofał aukcję po interwencji polskich władz: MSZ-u, Pałacu Prezydenckiego i Ministerstwa Kultury. Przeciwno aukcji zaprotestował m.in. Międzyrodowy Komitet Oświeceniowski oraz Instytut im. Fritza Bauera we Frankfurcie nad Menem.

– Zgodziliśmy się, że należy zapobiec takiemu zgorzeniu – oświadczył Radosław Sikorski, szef MSZ, po rozmowie ze swoim

odpowiednikiem w niemieckim rządzie Johannem Wadephulem. – Pamięć o ofiarach Holocaustu nie jest towarem i nie może być przedmiotem komercyjnego obrotu – dodał.

Wcześniej Sikorski pisał na platformie X, że u władz Westfalii w tej sprawie interweniował wcześniej ambasador Jan Tombiński.

Prezydent Karol Nawrocki, za pośrednictwem swojego rzecznika Rafała Leśkiewicza, naciskał w tej sprawie polski rząd.

„Prezydent Karol Nawrocki oczekuje od polskiego rządu, żeby zażądał zwrotu, w ostateczności wykupił wszystkie pamiątki po Ofiarach zbrodni niemieckich na ziemiach polskich, a koszt tego przedsięwzięcia doliczył do ogólnego rachunku reparacyjnego!” – pisał w mediach społecznościowych Leśkiewicz.

Miejsce w muzeach

Sikorski podkreślał, że „polska dyplomacja apeluje o powrót artefaktów do Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau w Oświęcimiu”.

– Nieustannie apelujemy o przekazywanie do Muzeum Auschwitz wszelkich poobozowych pamiątek – mówił rzecznik Muzeum Auschwitz Bartosz Bartyzel. – Gdyby artefakty trafiły do muzeum, mogłyby rzucić światło na nieznane dotychczas fakty dotyczące losów ofiar – dodawała Agnieszka Kowalczyk-Nowak z Muzeum na Majdanku. Szef UdSKIOR Lech Parell w liście protestacyjnym do niemieckiego domu aukcyjnego podkreślił, że takie dokumenty „są częścią rodzinnej i narodowej pamięci”. Zaznaczył, że „ich właściwym miejscem są domy rodzin Ofiar lub – jeśli taka jest wola bliskich – zbiory muzeów. W wypadku pamiątek po ofiarach reżimu sowieckiego – Muzeum Katyńskiego w Warszawie lub Muzeum Ofiar Sybiru w Białymstoku”.

Kto jest dysponentem

Karol Polejowski, obecny wiceprezes IPN, wskazał bez ogródek, że dokumenty wystawione na aukcji „pochodzą z rabunku”. Marta Cienkowska, szefowa Ministerstwa Kultury, zapowiedziała postępowanie, które ma wyjaśnić, skąd pocho-

dzą pamiątki po ofiarach obozów koncentracyjnych, które miały być wystawione na aukcji w Niemczech. – Jeśli okaże się, że są to autentyczne artefakty, to Polska nie będzie ich kupować, tylko je odzyska. Oczekujemy pełnej dokumentacji, żądamy dostępu do wszystkich materiałów dotyczących pochodzenia tych przedmiotów i będziemy dążyć do ich jak najszybszego zabezpieczenia i zwrotu do Polski – mówiła Cienkowska.

– Postępowanie wyjaśniające dotyczące archiwaliów z tej kolekcji jest dobrym pomysłem – mówi dr Janusz Sibora, historyk. – Musimy zdawać sobie sprawę, że archiwistyka funkcjonuje w określonych przepisach, podobnie jak rynek kolekcjonerski. Najprościej mówiąc, dokument urzędowy przynależy do miejsca, w którym został wytworzony. To klasyczna zasada pertynencji terytorialnej. I jeśli został skradziony lub w jakiś inny sposób zniknął z zasobu i znalazł się w innym miejscu, to warto wyjaśnić, jak do tego doszło, i domagać się jego zwrotu. Jeszcze inaczej jest w kwestii np. pamiątek będących w rękach prywatnych, np. rodzin autorów listów lub adresatów. Takie archiwalia rzeczywiście są często sprzedawane – wyceniają i skupiają je antykwarci.

Dom Aukcyjny Felzmann oświadczył po skandalu z kolekcją, że „prywatni kolekcjonerzy prowadzą intensywne badania i przyczyniają się do pogłębiania wiedzy historycznej, a ich działalność służy zachowaniu pamięci, a nie handlowaniu cierpieniem”.

– To dość „wygodne” stanowisko. Inną sprawą jest kwestia własności, a inną sfera moralna kolekcjonerskiego rynku. Uważam, że lepiej, by archiwalia trafiały do kolekcjonerów, a nie na śmietnik, jak to często ma miejsce w czasie porządkowania dawnych dokumentów w naszych domach. Natomiast kolekcjonerski rynek często jest obarczony moralnymi dylematami, np. gdy sprzedaż dotyczy pamiątek po więźniach obozów koncentracyjnych czy kart jeńców z oflagów i stalagów, które mogą być cenne z punktu widzenia narodowej pamięci. Tu wymagana jest wrażliwość – podkreśla dr Janusz Sibora.

GRYPS UKRYTY W BUTELCE

Strzelnica wojskowa w Lęborku leży za stadionem, tuż za budynkami dzisiejszej jednostki wojskowej, która w czasie II wojny pełniła rolę szkoły SS. Po ponad 80 latach budynki nadal służą żołnierzom, ale już polskim. I znowu jest wojna, tyle że za naszą wschodnią granicą. Z tego powodu ani jednostki ani strzelnicy nie można fotografować. Znowu czuć wojenne napięcie. Słysząc chichot historii...

Robert Gębuś

Jerzy Markowski, pasjonat historii z Lęborka, prowadzi mnie błotnistą ścieżką wzdłuż kilkusetmetrowych usypanych wałów ziemi. Mijamy strzelnicze tarcze, schodzimy poniżej, do jednego murowanych pomieszczeń. W jednym z nich, w 1960 roku, podczas prac budowlanych wydobyto butelkę z dwiema pośliskimi kartkami, grypsami więźniów podobozu Stutthof w Lęborku, których w czasie wojny Niemcy zmusili do budowania tej strzelnicy. Jeńcy napisali: „Nie wiedząc czy wyjdą na wolność, zostawiając po sobie te ślady. Jest nas tu 55 razem, z czego 28 wykonanych. (...) Oddają się pamięci tych co to znajdują i proszą o ogłoszenie! Lauenburg 7.11.1944”.

- Polak w 1944 roku na terenie niemieckiego Lauenburga pisze po polsku list, w którym prosi o upamiętnienie i ukrywa go w butelce. Jakby przeczuwał, że to miejsce będzie należało do Polski. To poruszające! Te grypsy pchnęły mnie do tego, żeby zgłębić tę sprawę - mówi Jerzy Markowski.

Detektyw po godzinach

Na co dzień księgowy w jednej z lęborskich firm, wciela się w rolę detektywa historii. Po pracy zamyka tabelki exela z firmowymi bilansami i liczy ofiary śmiertelnego żniwa w lęborskim podobozie przy koszarach SS. Píše do archiwów w Polsce, Niemczech i Rosji. Przekopuje się przez tysiące dokumentów i akt, żeby dowiedzieć się kto zginął, ilu zabito jak i kto to zrobił.

Na podstawie jego ustaleń IPN wznowił umorzone śledztwo w sprawie zbrodni przeciwko ludzkości. We wrześniu b.r. w pobliżu miejsca zbrodni odsłonięto tablicę upamiętniającą pomordowanych polskich więźniów. Podczas uroczystości Karola Nawrockiego, prezydenta RP reprezentował Piotr Czaundera. Licznie przybyli m.in. samorządowcy, przedstawiciele organizacji kombatanckich, NSZZ „Solidarność”.

„Odsłanianie dzisiaj upamiętnienie nie jest zwykłym kamieniem pamiątkowym. To głos zza grobu, odpowiedź na drama-



Jerzy Markowski współpracuje z Muzeum Stutthof w Sztutowie i gdańskim IPN

tyczny apel więźniów, którzy w grypsach ukrytych w murach strzelnicy błagali: «Prosimy o ogłoszenie!». Dziś prośba zostaje wypełniona - ich cierpienie zostaje nazwane, a pamięć o nich przywrócona.” - mówiła Katarzyna Lisiecka, Naczelnik Oddziałowego Biura Upamiętniania Walk i Męczeństwa.

Notatki oficera Blaua

Krwawa historia koszar SS i strzelnicy nie zaczyna się jednak od grypsu więźniów i nie tylko oni tę historię napisali. Przed wojną kompleks budynków dzisiejszej jednostki wojskowej pełnił rolę szpitala psychiatrycznego. Lębork sprzyjał faszyzmu. Podczas kampanii prezydenckiej w 1932 roku mieszkańcy entuzjastycznie powitali Hitlera. Kiedy władzę w Niemczech przejęli naziści, pacjentów szpitala uznano podludźmi. W 1940 roku placówkę zlikwidowano a chorych wymordowano w ramach akcji T-4. Jerzemu Markowskiemu udało się ustalić personalia niektórych z nich.

- W Urzędzie Stanu Cywilnego w Słupsku zachowały się akty zgonów pacjentów szpitala psychiatrycznego w Lęborku - mówi Jerzy Markowski. - Zdają się sytuację, że jednego dnia zgłaszane jest np. 5 zgonów. To osoby wymienione z imienia i nazwiska, z dużym prawdopodobieństwem uśmiercone przez ówczesnych lekarzy szpitala psychiatrycznego i pochowani

przy szpitalu. Wielu z pacjentów szpitala psychiatrycznego rozstrzelano w Piaśnicy.

Budynki po szpitalu opustoszały. W 1940 roku zajęły je Waffen-SS na potrzeby szkoły podoficerów. Trzeba było przebudować cały kompleks na koszarę, które mogły służyć młodym kadetom. Zaplanowano budowę hali ćwiczeń, budynku dla oficerów, magazynu gazu i garażu na 60 aut z warsztatem. Młodym podoficerom potrzebna była także strzelnica. Obiekt o wymiarach 300 metrów na 25 m. miał powstać w pobliżu budynków koszar. O ile do przebudowy szkoły podoficerów zatrudniono firmy z Lęborka, o tyle do prac ziemnych przy strzelnicy Niemcy postanowili wykorzystać darmową siłę roboczą. Akurat trwała ofensywa niemiecka na froncie wschodnim. Do stągów trafiali masowo jeńcy radzieccy.

- Sprowadzono ich do Lęborka z Czarnego - mówi Markowski. - Wobec nich Niemcy nie stosowali Konwencji Genewskiej, nie mieli żadnych praw.

Byli niedożywieni, w łachmanach, katowani.

Niemieccy oficerowie nie byli jednak zadowoleni z pracy rosyjskich jeńców. W niemieckich archiwach zachowała się korespondencja w których komendanci obozu skarżyli się do Berlina, że Rosjanie są mało wydajni, do niczego się nie nadają, nie chcą pracować. Żeby ich zmusić do pracy byli bici, głodzeni. Opisuje to Niemiec o nazwisku Blau, który sprawował nadzór nad budową na terenie koszar. Sporządził notatkę z opisem sytuacji w lęborskim podobozie, którą po wojnie przechowywał Powiatowy Urząd Bezpieczeństwa w Lęborku. Odnaleziono ją podczas remontu lęborskiego archiwum w 1998 roku i na jej podstawie Instytut Pamięci Narodowej wszczął śledztwo w 2002 roku. Blau pisał o dwóch egzekucjach. Według niego w pierwszej egzekucji Niemcy rozstrzelali 50 jeńców rosyjskich za odmowę pracy. W drugiej zabito 35 więźniów różnych narodowości, w tym Polaków.

Ziemia wchłonęła krew jeńców

Wraz z Jerzym Markowskim stoję za płotem przy koszarach. Leśny zagajnik odgradza to miejsce od drogi i zabudowań jednostki wojsko. Był tu kiedyś cmentarz, na którym chowano zmarłych pacjentów szpitala psychiatrycznego. Pozostał ślad po stojącym tam kiedyś krzyżu. Potem grzebano tu także więźniów podobozu w Lęborku. Jerzy Markowski pokazuje miejsce, o którym pisze Blau w swojej notatce. Gdzieś tu, w zbiorowej mogile pochowano rozstrzelanych jeńców. Blau w wymieniu bezpośrednich sprawców zbrodni, to m.in. Gorbardt, Leopoldseder, Stretzberg, Weinzerl.

- Z treści jego notatek wynika, że pisał je po wojnie. Nie ma też pewności co do tego, że Rosjanie się zbuntowali - mówi Jerzy Markowski. - Prawdopodobnie Blau dostał się w ręce lęborskiego UB. W swoich notatkach przy poszczególnych nazwiskach sporządził opisy charakterystyczne tych ludzi, np. „szczególnie okrutny” itd.

Markowski wydobył z rosyjskich archiwów akta osobowe części Rosjan, którzy trafili do Lęborka. Ustalił, że wszyscy zginęli w ciągu miesiąca, co pasowałoby do wersji opisywanej przez Niemca. - Datę egzekucji możemy oszacować na koniec października 1941 roku, bo 11 listopada do Lęborka sprowadzono stu więźniów z Buchenwaldu - tłumaczy J. Markowski. - Po tym, jak rozstrzelano jeńców rosyjskich, Niemcy potrzebowali nowej siły roboczej.

Harmonogram przewidywał, że strzelnica ma być gotowa w lipcu 1942 roku. Dlatego po egzekucji Rosjan do Lęborka przyjechał kolejny transport więźniów, w tym Polaków. Masy ziemi na wałach, które ją otaczają oddają ogrom pracy ale już nie cierpienia, które kosztowała ta budowa. W porośniętych trawą wzgórzach tkwią tony przewalonego rękami więźniów piasku, ale nie widać krwi jeńców, która w nie wsiąkała. Więcej mówi relacja Antoniego Rzyżkowskiego, jednego z więźniów, który przyjechał tam w 1942 roku.

„Pojechało nas tam 100 budować strzelnicę. Po przyjeździe do Lauenburga (Lęborka), przy wysiadaniu z samochodu od razu dwóch zabili pałkami. W obiad przyjechaliśmy, ale obiadu nam nie dali tylko pogнали do lasu i musieliśmy górę w jednym miejscu rozbierać ten piasek zwozić w inne miejsce i strzelnicę budować. Kapem był tam Niemiec Kliford. (...) to był zbrodniarz naprawdę, tak że z tych stu, co z nami jechali tylko kilku zabrali wykończonych do Stutthofu, reszta zginęła w Lauenburgu. Praca była ciężka, od świtu do nocy budowaliśmy tę strzelnicę. Strasznie nas bili. (...)”.

Cztery baraki lęborskiego podobozu Stutthof znajdowały się mniej więcej tam, gdzie dziś stoi lęborska pływalnia „Rafa”. Zanim powstały, pierwsze transporty więźniów do Lęborka lokowano w wilgotnych i zimnych piwnicach budowanych koszar. Strzelnica znajduje się kilkaset metrów dalej a budynki wojskowe są tuż za nią. Jeszcze dalej, na wysokości dzisiejsze Tczewskiej w Lęborku znajdowało się 15 baraków młodych kadetów SS. Jerzy Markowski zauważył te budynki na lotniczej fotografii Lęborka z 44 roku, którą zdobył z archiwum... RAF w Anglii. Poza grypsem więźniów także ta fotografia z nieznanymi wcześniej budynkami zainspirowała go do zgłębienia krwawej historii tego miejsca. - Pomogła mi Niemka, która załatwiła mi dokumenty z Bundesarchiv - mówi Markowski. - Niemcy mają dokumentację szkoły Waffen SS w Lęborku. Dostałem ok. 600 stron dokumentów.

Kolejnych dokumentów mógł rozmówca szukać już sam. Za niektóre musiał zapłacić byściągnąć je z archiwum w Niemczech.

- Nie ma listy imiennej osób, które trafiły do Lęborka, ale przeszukałem internetowe niemieckie archiwum Arolsen, w którym są dostępne digitalizowane dokumenty wszystkich obozów koncentracyjnych - mówi Markowski. - Wynikało z niego, że do Lęborka 11 listopada 1941 roku wysłano ponad 100 więźniów.

Dokończenie na str. 8

*POLAK W 1944 ROKU NA TERENIE NIEMIECKIEGO LAUENBURGA
PISZE PO POLSKU LIST, W KTÓRYM PROSI O UPAMIETNIENIE I UKRYWA GO W BUTELCE*

WYŚŁUCHAĆ WOŁANIA O UPAMIĘTNIE

Dokończenie ze str. 7

Poza tym zachowały się indywidualne fiszki każdego z nich. Na nich też mają wbitą pieczęć, kiedy przyjechali do Lęborka.

Setka więźniów wymieniana jest raportach dziennych Buchenwaldu, w których Lębork jest jeszcze opisywany jako podobóz. Ten stan się nie zmieniał do marca 1942 roku, kiedy wysłano do Lęborka ostatnią grupę 48 jeńców Buchenwaldu. Markowski przeanalizował dokumenty i dostrzegł, że już 23 marca 1942 roku, kiedy zliczano więźniów, było ich w Lęborku tylko 114 a powinno być 147. Brakowało 33 osób. Pasjonat historii skojarzył ten fakt z informacją z notatki Niemca Blaua, który wskazywał, że egzekucje były dwie: w jednej zastrzelono 50 jeńców rosyjskich, w kolejnej mówi o zabiciu 35 więźniów. - Prawdopodobnie ofiary drugiej egzekucji też zostały pochowane na cmentarzu przy koszarach - uważa Jerzy Markowski. - Nie wiemy jednak jaki był bezpośredni powód tej egzekucji.

33 nieznane nazwiska

Kiedy pod koniec marca 1942 roku dowództwo podobozu w Lęborku postanowiło przekształcić lęborski podobóz Buchenwald na podobóz Stutthof, listę sporządzono już bez 33 więźniów. Pozostali przy życiu znaleźli się w księdze ewidencyjnej KL Stutthof. Do notatki Blaua była dołączona także lista 37 wartowników, członków kompanii sztabowej i inspekcji budowlanej. Przy niektórych z nich Bału dopisywał uwagi, np. „wielokrotny morderca”.

Jerzy Markowski ustalił, że w marcu 1942 rozstrzelano najprawdopodobniej 33, a nie 35 więźniów. Z personaliami ofiar sprawa jest trudniejsza.

- Teoretycznie możemy ustalić listę tych zabitych więźniów - mówi J. Markowski. - Obóz w Buchenwaldzie prowadził bardzo szczegółowa buchalteria. Każdy więzień, który wyjeżdżał był w ewidencji. Trzeba jednak prze-

kopać się przez tysiące fiszek znajdujących się w archiwach niemieckich, na których jest pieczęć potwierdzająca, że ten więzień przybył do Lęborka. Potem zestawiać to z listą ludzi przetrzymanych przez Stutthof. Brakujące 33 nazwiska to będą dokładnie ci więźniowie, którzy zostali rozstrzelani.

Jerzy Markowski napisał do niemieckiego archiwum i przedstawił im całą historię sprawy z własną analizą. Zapytał też, czy są w stanie dotrzeć do nazwisk ofiar nazistowskiego reżimu. - Odpowiedzieli mi, że nie mają siły i środków żeby to przeprowadzić a poza tym nie są do tego powołani - mówi Markowski i dodaje, że wziął sprawę w swoje ręce.

Żeby ustalić personalia 33 osób zastrzelonych podczas drugiej egzekucji ponownie przekopuje niemieckie archiwum.

- Mam do sprawdzenia 143 tys. stron, przetworowałem już jakieś 12 proc. Robię to w wolnej chwili - mówi Jerzy Markowski. - Kilka nazwisk już mam, zgłoszę je do IPN.

Ustalenia IPN-u

Instytut Pamięci Narodowej w Gdańsku w 2007 roku umorzył śledztwo, które wszczął na podstawie notatki Blaua w 2002 roku. Wówczas udało się ustalić miejsce pobytu jednego z katów z Lęborka, wymienionych w notatce. Niemiec o nazwisku Stretzberg mieszkał w Szwajcarii. Na wniosek IPN Interpol ustalił, że esesman zmarł.

Jerzy Markowski napisał artykuł dotyczący swoich ustaleń w kwestii działania lęborskiego podobozu, który ukazał się w Zeszytach Stutthof. Złożył też wniosek do IPN o wznowienie śledztwa w tej sprawie. Przekazał do IPN personalia tych ofiar, które udało mu się ustalić na podstawie dziennych raportów zgonów, które w latach 1941-1942 zgłaszane przez komendanturę obozu do Urzędu Stanu Cywilnego w Lęborku. Dokumenty trafiły do archiwum w Słupsku.

UJAWNIONE PRZEZ JERZEGO MARKOWSKIEGO MATERIAŁY I ŹRÓDŁA DOWODOWE NIE BYŁY ZNANE PROKURATOROM PROWADZĄCYM ŚLEDZTWO

- W tym archiwum zachowała się księga zgonów. Przejrzałem ją i ustaliłem personalia pięciu więźniów z Buchenwaldu, którzy zginęli w Lęborku. Jeden z nich mieszkał w pobliżu Wejherowa - mówi Markowski, który dotarł w tej sprawie dalej niż IPN.

- Ujawnione przez Jerzego Markowskiego materiały i źródła dowodowe nie były znane prokuratorom prowadzącym uprzednio zakończone śledztwo - informuje Tomasz Jankowski, prokurator IPN w Gdańsku. - Możliwe do przeprowadzenia nowe dowody są istotne dla prawidłowego rozstrzygnięcia w sprawie i wyjaśnienia ważnych okoliczności, jak dokładne określenie czasu i miejsca popełnienia przestępstw, ilości pokrzywdzonych, a zwłaszcza ustalenie tożsamości części ofiar. Z tego względu śledztwo zostało podjęte.

Prokurator IPN-u przyznaje przy tym, że Jerzy Markowski wykonał kawał archiwistycznej i śledczej roboty. To pozwoliło prokuratorom IPN-u wznowić śledztwo dotyczące ot. zbrodni przeciwko ludzkości dokonanych przez funkcjonariuszy III Rzeszy Niemieckiej SS w Lęborku.

- Podczas przygotowania do pisania artykułu Jerzy Markowski zapoznał się z aktami sprawy i zgromadził istotne materiały źródłowe - mówi Tomasz Jankowski. - W swoim wniosku wskazuje on nowe nieznane uprzednio źródła dowodowe i ustalenia dotyczące m.in. danych osobowych pokrzywdzonych, niektórych jeńców sowieckich zmarłych w Lęborku oraz więźniów z obozu koncentracyj-

nego w Buchenwaldzie przekazanych do Lęborka.

Śledczy podkreślają, że Jerzy Markowski dotarł do nieznanych wcześniej materiałów archiwalnych dotyczących funkcjonowania Ausenkommando Lauenburg i członków jego załogi, w tym nazwiska wszystkich komendantów: „Wnioskodawca porządkuje chronologię wydażeń i zbrodni zaistniałych na terenie budowy szkoły dla podoficerów SS w Lęborku i strzelnicy przynależnej do tej szkoły. Zgromadzone przez ww. dane wskazują, że ciała zamordowanych jeńców sowieckich i cywilnych więźniów obozów koncentracyjnych pochowane zostały w zbiorowych mogiłach na terenie byłego cmentarza przyszpitalnego. Miejsce to obecnie zajmowane jest przez jednostkę Wojska Polskiego w Lęborku”.

W toku prowadzonego postępowania IPN-u gdański historyk przeprowadził kwerendę archiwalną, opracował informacje i załączył kopie dokumentacji dotyczącej 114 więźniów KL Buchenwald przekazanych do komanda roboczego w Lęborku. Przeanalizowano też księgi zgonów, żeby ustalić dane zmarłych jeńców sowieckich i więźniów komanda roboczego KL Buchenwald i KL Stutthof w Lęborku.

„W jej wyniku ujawniono akty zgonów wystawione łącznie dla 23 więźniów. Odnaleziono akty zgonów dotyczące czterech osób zmarłych w datach od 16.11.1941 r. do 23.01.1942 r. czyli w okresie poprzedzającym powstanie listy więźniów KL Buchenwald z dnia 23.03.1942 r” - informuje gdański oddział IPN.

Śledczy ustalili także m.in. że stan podobozu wynoszący ok. 90-100 osób się stale zmieniał. Jedni więźniowie umierali, inni byli wywożeni, a jeszcze inni przyjeżdżali. Z archiwum w Toruniu wydobyto dokumentację budowy infrastruktury na terenie byłego cmentarza przy jednostce wojskowej.

Śledztwo trwa nadal

- Nadmieniam, iż śledztwo nadal wymaga kontynuowania podkreśla Tomasz Jankowski. - Przeprowadzone zostaną oględziny kolejnych materiałów archiwalnych dotyczących więźniów podobozu w Lęborku odnalezionych po kwerendzie historyka Oddziałowej Komisji w Gdańsku, wykonana zostanie dalsza analiza archiwalnych Ksiąg zgonów niemieckiego Urzędu Stanu Cywilnego w Lęborku z lat 1944-1945. Pozwoli to na ustalenie dokładnej liczby i danych zmarłych tam więźniów. Konieczne jest uzyskanie tłumaczenia dokumentów archiwalnych z języka niemieckiego. Dopiero w konsekwencji wykonanych ww. czynności podjęta zostanie próba weryfikacji danych ustalonych więźniów podobozu w Lęborku, pokrzywdzonych w sprawie, w systemie Pesel i innych dostępnych bazach danych osobowych obywateli polskich, a następnie ustalenie danych osób dla nich najbliższych.

Jerzy Markowski współpracuje od kilku lat z Działem Naukowym Muzeum Stutthof w Sztutowie.

- Dzięki tej współpracy udało się m.in. wspólnie zidentyfikować i nabyć nowe, nieznane wcześniej alianckie zdjęcia lotnicze Lęborka, które pozwoliły ustalić szczegóły topografii podobozu KL Stutthof. - podkreśla Łukasz Kępski Rzecznik Muzeum Stutthof w Sztutowie. - Muzeum Stutthof bardzo ceni sobie współpracę z panem Jerzym Markowskim i jego historyczną wiedzę terenową w Lęborku i okolicach. Został on przez Muzeum zaproszony

do grupy, która wspólnie z IPN Gdańsk podjęła się zadania nowego oznaczenia i opisu miejsc pamięci narodowej związanych z obozem Stutthof w Lęborku.

Gdzie leżą pomordowani jeńcy?

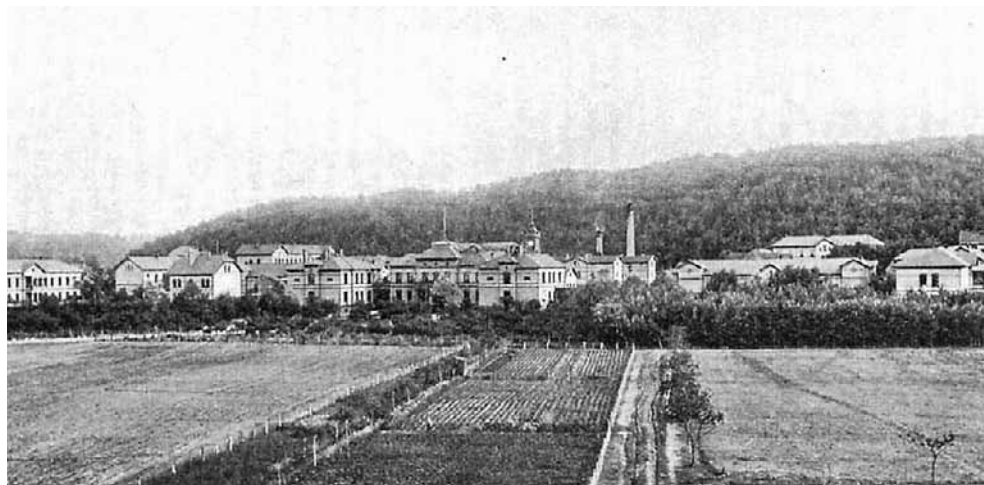
Na znalezionym w butelce, ukrytej w murze strzelnicy, grypsie z 1944 roku na dwóch kartkach, dwoma różnymi charakterami pisma napisano dwa teksty. Autorem był Henryk Rost i prawdopodobnie jeszcze jeden więzień. Poza wołaniem o upamiętnienie, znajduje się tam informacja o 28 jeńcach zastrzelonych przez SS-manów. Tablica przy pomnikach na cmentarzu parafialnym w Lęborku informuje, że leżą oni właśnie w tam, w zbiorowej mogile. Zdaniem Jerzego Markowskiego, tak nie jest.

- W moim przekonaniu w grypsie nie chodzi o egzekucję w 1944 roku, tylko egzekucję z 1942 roku o której wspomina w notatce Blau - uważa Markowski. Przypuszcza też, że ofiary tych zbrodni najprawdopodobniej nie zostały ekshumowane i spoczywają nadal na terenie jednostki.

Gdański IPN w toku śledztwa wydobył z archiwum w Toruniu dokumentację budowy infrastruktury na terenie byłego cmentarza przy jednostce wojskowej. Dopytujemy o ekshumację ofiar niemieckich zbrodni na terenie Lęborka. I otrzymujemy taką odpowiedź:

„W Urzędzie Miasta Lęborka, Archiwum Państwowym oraz w Zarządzie Głównym PCK nie odnaleziono dokumentów dotyczących ekshumacji ofiar II wojny światowej na terenie miasta Lęborka”.

Niewielka nekropolia, która służyła najpierw pacjentom szpitala, a potem więźniom filii obozu Stutthof też ma swoje tajemnice. Według pogłosek, potwierdzanych przez emerytowanych żołnierzy, jeszcze długo po wojnie podczas prac ziemnych na terenie jednostki wykopywano ludzkie szczątki.



Na początku wojny szpital został przebudowany na koszarzy dla niemieckich żołnierzy



Budynek Dyrekcji Państwowego Ośrodka Szkolenia Inwalidów Wojennych w Lęborku

Namieszał mocno w świecie sportu Jakub Szumański. Płotkarz Sopotkiego Klubu Lekkoatletycznego szturmem podbił halowe mistrzostwa w 2025 roku. Rządził i dzielił na dystansie 60 metrów, ustanawiając nowy rekord Polski, a przede wszystkim sięgając po mistrzostwo Europy w holenderskim Apeldoorn. Do pełni szczęścia zabrakło porównywalnych sukcesów na stadionach na dystansie 110 metrów. Nieudany występ na mistrzostwach świata w Tokio z pewnością nie załamał tego sportowca. Siła mentalna jest bowiem jego dużym wyróżnikiem.

Pewnością siebie imponował od początku roku 2025. Osmego lutego Jakub Szymański błysnął podczas międzynarodowego mitingu Orlen Łódź Cup. Wygrał z czasem 7,39 i po raz czwarty od 2024 roku poprawił rekord Polski.

Zawodnik bez limitów

- Robię, to co kocham i to mnie napędza. Dzięki temu osiągam takie wyniki. Nie znam swojego limitu. Celuję w czas 7.35 i chciałbym być pierwszym, który zwycięży z niepokonanym na 60 metrów przez płotki rekordzistą świata na tym dystansie Amerykaninem Grantem Hollowayem - mówił w Łodzi płotkarz SKŁA.

NIEPOKORNY MISTRZ PŁOTKARSKI Z SOPOTU

Jakub Szymański to nasz
kandydat w kategorii
Sportowiec 2025 roku
w 73. Plebiscycie Sportowym

Rafał Rusiecki

Najważniejsze w tym czasie były jednak halowe mistrzostwa Europy w Apeldoorn. W tym holenderskim mieście Szymański potwierdził wysoką dyspozycję. Wygrał z czasem 7,43, a mocni Francuzi tym razem byli za nim. Wilhem Belocian był drugi (7,45), a Just-Kwaou-Mathey trzeci z czasem 7,50.

- Wyrównałem trzeci wynik w tym sezonie. Kusiło mnie, żeby pobiec rekord mistrzostw, ale to złoto i tak znaczy dla mnie bardzo dużo. Co innego mieć drugi wynik w historii,

a co innego zostać mistrzem Europy. Dało mi to jeszcze większą pewność siebie. Lubię, kiedy moje biegi są na końcu sesji, kiedy wszyscy skupiają się na tobie. Mi to bardzo sprzyja. Ja od początku mówiłem, że choć złoty medal - wyśnialił przed kamerami TVP Sport Jakub Szymański.

Aby na arenie międzynarodowej stawać na podium trzeba być absolutnie bezbłędnym. Podczas mistrzostw świata w chińskim Nankinie potknął się na ostatnim płotku w biegu półfinałowym. To spowodowało

Jakub Szymański najpierw wizualizuje sobie szybki bieg płotkarski, a następnie przechodzi do czynu na bieżni

wało stratę ułamka sekundy, a wynik 7,63 nie pozwolił zakwalifikować się do ścisłego finału.

Skok z hali na stadion

A potem przeniósł się na stadion, gdzie płotkarze biegają na dystansie 110 metrów. Kibice mogli się przekonać, że to bardzo duża zmiana. Gwiazdor SKLA Sopot leciał do Tokio z nadzieją na wysokie miejsca w mistrzostwach świata. Te założenia rozwały się już w eliminacjach, w których czas 13,74 nie pozwolił awansować dalej.

- Na mistrzostwach świata w Tokio zaprezentowałem się z bardzo złej strony. Kluczowe jest to, aby wyciągnąć wnioski na przyszłość, lecz nie na przyszłość mamy wpływ w sporcie. Tym bardziej, gdy powodem słabego występu nie jest złe przygotowanie fizyczne, a technika, która w moim przypadku jest nieprzewidywalna. Stąd moje duże wahania, jeśli chodzi o wyniki osiągane na zawodach. Ludzie dorabiający teorię na mój temat - brak wytrzymałości, psychologa itp. - nie mają

pojęcia co tak naprawdę kryje się za konkurencjami 60 i 110 metrów przez płotki - napisał później na swoim Facebooku Jakub Szymański.

Wyjaśnił przy tym, że techniczne błędy nie pozwalają mu w pełni przenieść formy z biegu krótszego w hali na ten dłuższy na stadionowej bieżni.

- Często technika nie może nadążyć za innymi parametrami na przykład siłowymi lub szybkościowymi, kiedy co sezon zawodnik robi ogromny progres. Tym zawodnikiem jestem właśnie ja. Każdy ma własne problemy, swoją historię i drogę na sportowy szczyt - dodaje Szymański, który w 2026 roku chce na mistrzostwach świata w hali w Toruniu wygrać z Grantem Hollowayem.

Plebiscytowa zabawa

73. Plebiscyt Sportowy „Dziennika Bałtyckiego” rozgrywa się na dwóch płaszczyznach. Trwa już głosowanie wśród Czytelników na najpopularniejszych sportowców i trenerów z Pomorza. W tym przypadku wszystko w rękach kibiców. Systematycznie przedstawiamy także sylwetki zawodników, drużyn i wydarzeń, które w naszym przekonaniu znacząco wyróżniły się w 2025 roku. Tutaj wyróżnimy najlepszych, którzy będą mieli największe poparcie w gronie naszej kapituły.

MATERIAŁ INFORMACYJNY MIASTA BIELSKA-BIAŁEJ

Bielsko-Biała – Miasto Splotów. Polska Stolica Kultury 2026

Bielsko-Biała jako pierwsze miasto w historii otrzymało tytuł Polskiej Stolicy Kultury – jest to nowa inicjatywa Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego oraz Narodowego Centrum Kultury. Program wyróżnia miasta, które świadomie rozwijają się poprzez kulturę i traktują ją jako narzędzie wzmacniania wspólnoty, edukacji i tożsamości. To polski odpowiednik idei Europejskiej Stolicy Kultury, powołany po procesie ESK2029, by podtrzymać energię i pomysły, które w nim powstały.

Tytuł oznacza roczny program działań artystycznych, społecznych i edukacyjnych, mających realny wpływ na życie mieszkańców. Polska Stolica Kultury to proces, który wzmacnia lokalne instytucje, twórców i współpracę między środowiskami.

Miasto Splotów nawiązuje do włókienniczej historii Bielska-Białej. W tutejszych fabrykach przez dekady powstawały tkaniny, a rzemiosło i precyzja ukształtowały kulturę miasta. Dziś „splot” jest metaforą miejsca, gdzie łączą się tradycja i nowoczesność, natura i miasto, różnorodność mieszkańców i ich doświadczeń – opowieścią o wspólnocie tworzonej poprzez współdziałanie.

Na tej idei opiera się koncepcja tkania dobrostanu – harmonii między ludźmi,

przestrzenią i naturą; odpowiedzialności, wrażliwości i otwartości. Dobrostan powstaje dzięki procesowi, dlatego program prowadzi trzy „nici”: wspólnota – kultura jako przestrzeń spotkania i dialogu; natura – równowaga i życie blisko gór, rzek i zieleni; oraz kreatywność – energia mieszkańców i artystów. Całość programu Polskiej Stolicy Kultury obejmuje ponad 100 wydarzeń, które wypełnią 224 dni roku – od widowisk masowych po działania kameralne, od inicjatyw społecznych po projekty międzysektorowe.

**Uroczysta Ceremonia Otwarcia –
17 stycznia 2026 r.**

Inauguracja roku odbędzie się w formie barwnego święta, na które zaproszeni są wszyscy mieszkańcy i goście. Cztery kolorowe korowody wyruszą z różnych dzielnic, symbolizując wspólnotę, naturę, kreatywność i historię. Ich spotkanie na Placu Wojska Polskiego zakończy się wspólnym polonезem – gestem jedności i otwarcia miejskiej opowieści. Następnie na Placu Ratuszowym wystąpi Bielska Orkiestra Kameralna wraz z artystami reprezentującymi różne style, a wieczór zamknie galowy koncert Orkiestry Teatru Polskiego – La Nostra Banda. Ceremonia będzie zapowiedzią roku, w którym kultura wypełni przestrzeń miasta.

Preisner Scoring Competition – nowe święto muzyki filmowej

Szczególnym wydarzeniem będzie Preisner Scoring Competition, konkurs pod patronatem Zbigniewa Preisnera – światowej klasy kompozytora i Honorowego Obywatela Bielska-Białej. Młodzi twórcy z całego świata skomponują muzykę do obrazu Wieża Babel, a ich utwory zostaną wykonane premierowo przez orkiestrę podczas finału. Konkurs to nie tylko prezentacja talentów, lecz także warsztaty, spotkania i wymiana doświadczeń między kompozytorami, filmowcami i muzykami. Kulminacją będzie wyjątkowy koncert pod batutą Preisnera, czyniący to wydarzenie jednym z najważniejszych punktów obchodów roku.

Program dopełnią m.in. Zadymka Jazzowa, Międzynarodowy Festiwal Sztuki Lalkarskiej, projekt „T-Shirt Story”, Wędrujący Festiwal, „Sąsiedzi”, Miejska Promenada Kultury, Jazzowa Jesień i Beskidzki Kongres Kultury. Dziedzictwem programu mają być trwałe relacje, rozwój kompetencji, wzmocnienie twórców i kontynuacja inicjatyw, które wyjdą poza rok świętowania. Zapraszamy na Ceremonię Otwarcia i cały program obchodów roku tytułu.

Polska Stolica Kultury zaczyna się w Bielsku-Białej.

Bielsko-Biała. Polska Stolica Kultury 2026

Ceremonia otwarcia
17 stycznia 2026 r.

BB
2026

Bielsko-Biała
Polska
Stolica
Kultury

TKAMY
DOBROSTAN

Kreatywnością

Dawne kioski Ru-chu, upadłe sklepiki, punkty rzemieślnicze. Na ich witrynach świecą małe, kolorowe neony z napisem „Open”. Okna zaklejone papierem, na drzwiach kartka: „Zadzwoń domofonem i czekaj na otwarcie”.

Od półtora roku w drodze do pracy mijam cztery takie miejsca. Pierwszy na ulicy Łągiewniki, kolejny przy Podwalu Staromiejskim, następny przy Długich Ogrodach, ostatni przy Siennickiej. W całym Gdańsku z pewnością jest ich znacznie więcej.

Wkraczam w świat mafii

Stoję wieczorem na Podwalu Staromiejskim w Gdańsku. „Open” świeci nad pustą witryną. Co tu było wcześniej? Chyba sklep z odzieżą. Po jego bokach mieszczą się sklep z papierosami elektronicznymi i dorabianie kluczy. Na zdjęciach Google Street View widać, że „Open” działa od kilku lat. Ale jeszcze rok temu w miejscu dorabiania kluczy był kantor.

Naciskam guzik domofonu. Trochę się boję. Przed wizytą w takim miejscu ostrzegł mnie komisarz Sebastian Pakalski z Izby Administracji Skarbowej w Gdańsku.

- Przestępstwo popełnia nie tylko organizator nielegalnych gier, ale także osoby w nich uczestniczące - zaznaczał. Nie polecał także spędzania tam czasu. - Takie punkty prowadzą zorganizowane grupy przestępcze - dodał.

Jednym słowem: wkraczam w świat mafii.

Reakcji na dzwonek nie ma. Pojawia się drugi klient. Jest zniecierpliwiony czekaniem. Naciska przycisk kilka razy. Ten to mafii się nie boi. Wreszcie słychać buczenie, drzwi się otwierają.

W środku najpierw czuję dym z papierosów, potem widzę rząd elektronicznych automatów. Przed nimi, na krzesłach, troje grających: dwóch mężczyzn i kobieta, wszyscy około trzydziestki. Na czwartym automacie miga napis „error”.

Wszyscy grają w skupieniu. Na stolikach popielniczki, papierosy i puszki z piwem.

Udaję, że jestem zainteresowany grą. Nie mam jednak monet. Szukam kogoś z obsługi.

- Pan tutaj pracuje? - pytam jednego z mężczyzn. Jest łysiejący i ma „zajęczą wargę”.



Tylko w ostatnim półroczu KAS na Pomorzu zarekwirowała blisko 400 automatów

NIELEGALNE SALONY HAZARDU W GDAŃSKU MAJĄ SIĘ DOBRZE

W samym sercu Gdańska działają nielegalne salony hazardu. Ich wykrycie jest proste: mają neony, znajdują się na głównych ulicach miasta. Przed postronnymi dostępem do nich bronią kamery i uruchamiane zdalnie drzwi

Marek Sterlingow

- Nie - zaprzecza.
- Chciałem wymienić pieniądze - tłumaczę. - No bo jak to działa?
- Normalnie - odpowiada.
- Wrzuca pan pieniądze i...
Mężczyzna cierpliwie wyjaśnia zasady.
- Na razie wszystko zajęte - zauważam i ustawiam się za plecami grających.

Przyjemny brzęk monet

W sumie jest mi to na rękę. Raz, że przecież grać nie można, bo to nielegalne. Po drugie, wcale nie zależy mi na nabijaniu kieszeni przestępcom. Wiara w sukces gry na tych automatach wydaje mi się skrajną naiwnością. A co myślą o tym moi nowi znajomi?
- Warto w to grać? - pytam.

- To zależy, nie? - odpowiada drugi z grających. Ma bejsbolówkę i małą bródkę.
Po chwili z jego automatu rozlega się przyjemny brzęk monet.
- O, panu się udało - komentuję.
- Nie, nic się nie udało - mówi smutno, po czym znów wypłaca kilka monet, żeby zaraz wrzucić je z powrotem. Wygląda na człowieka, który gra już nie dla wygranej, a dla dźwięku spadających monet. W pewnym momencie chrząka jednak z zadowolenia. Kilka jednakowych obrządków arbuzów ustawiło mu się w rządki.
- Wreszcie! - pokrzykuje z entuzjazmem. Zastanawiam się, czy dużo wygrał.

- Zwróciło to, co zabrało - konstatuje mężczyzna. Potem smutno dodaje:
- I to jeszcze nie.
Próbuję zwrócić uwagę kolejnej grającej osoby.
- Pani to nie ma takiego szczęścia - zauważam. Kobieta przyznaje mi rację. Ciągle ma jednak nadzieję:
- Może jeszcze będzie łut szczęścia...

Kamery włączone, obsługa czuwa

W rogu pokoju widzę kamerę, w ścianie drzwi z weneckim okienkiem. Obsługa najwyraźniej obserwuje wszystko z zaplecza. Gdy jeden z automatów zaczyna się włączać, znów zaczynam grających:

- Włączył się, ale coś nie gra...

- Nie, to jeszcze chwilę potrwa - objaśnia mi „zajęcza wargę”.

Uznałem, że to dobry moment, żeby wyjść. Drzwi są jednak nie poddają. Pomaga mi kobieta.

- Trzeba przytrzymać biały guzik i pociągnąć drzwi - instruuje. - Równocześnie.

- To życzę państwu powodzenia - mówię na pożegnanie, choć podejrzewam, że nikt tu szczęścia nie znajdzie.

Większość grających to osoby uzależnione. Hazard daje chwilową ulgę i poczucie kontroli, które szybko przeradza się w przymus „odegrania się”. Najczęściej w pułapkę wpadają młodzi mężczyźni, którzy szukają silnych emocji i sposobu na ucieczkę od problemów. Statystyki pokazują, że drugą dużą grupą ryzyka są seniorzy po 60. roku życia.

KAS likwiduje, automaty wracają

Za walkę z nielegalnym hazardem odpowiada Krajowa Administracja Skarbowa (KAS). Jej przedstawiciel, komisarz Pakalski, co pewien czas informuje o działaniach swojej formacji. Pytam go, ile takich nielegalnych punktów hazardu jest na Pomorzu. Komisarz unika konkretnych liczb.

- Bardzo dużo - mówi. Ale znajduje sposób, by określić skalę zjawiska.

- Tylko w ostatnim półroczu na Pomorzu zatrzymaliśmy blisko 400 automatów o łącznej wartości około 6 milionów złotych - liczy.

Naloty na punkty wymagają współpracy trzech służb: oprócz skarbowki, biorą w nich udział policja i straż graniczna.

- W lokalach przebywają niekiedy osoby poszukiwane, a także cudzoziemcy przebywający w Polsce nielegalnie lub

zatrudnieni bez zezwoleń. Często podczas nalotu znajdowane są także narkotyki - tłumaczy Pakalski. Jego zdaniem dodatkową trudnością jest coraz bardziej wyrafinowana taktyka przestępców.

- Lokale są zazwyczaj monitorowane i zdalnie sterowane. Zdarza się, że funkcjonariusze wchodzą do środka, a automaty są natychmiast wyłączane. Często nie ma żadnej obsługi - opowiada komisarz.

Na kanale KAS w serwisie YouTube można zobaczyć nagrania z takich akcji. Funkcjonariusze w kamizelkach kuloodpornych, przy energicznej muzyce, wdzierają się do lokali z bronią gotową do strzału. Na zapleczach salonów nie ma nikogo bądź są przestraszone kobiety lub starsi emeryci. Są to tak zwane słupy - osoby bez majątku, znajdujące się w beznadziejnych sytuacjach życiowych. Za drobną opłatą są gotowi firmować nielegalną działalność hazardowej mafii.

- Osoby zajmujące się tym nielegalnym procederem wykorzystują przede wszystkim wśród społeczeństwa uzależnienie od hazardu i wykorzystują też osoby, cudzoziemców, którzy przebywają w naszym kraju - mówi komisarz.

Rzeczywiście, cudzoziemców łatwo jest wykorzystać. Nie zawsze przebywają w Polsce legalnie, nie posiadają też pozwoleń na pracę. Żeby przeżyć, muszą znaleźć się w szarej strefie.

Sukcesy w walce z nielegalnym hazardem są często tylko na papierze. Kary, choć wysokie, pozostają nieściągalne. Państwo wydaje miliony złotych na przechowywanie i utylizację przejętych automatów, a przestępcy błyskawicznie je zastępują.

Na razie znów idę do pracy obok nielegalnych salonów. Ile lat jeszcze będę je mijał? Zobaczmy.

DLA UZALEŻNIONYCH OD HAZARDU

Osoby zmagające się z uzależnieniem od hazardu lub zadłużeniem mogą bezpłatnie szukać pomocy w województwie pomorskim m.in. w:

- Wojewódzkim Ośrodku Terapii Uzależnień w Gdańsku (wotu.pl);
- Ośrodku Profilaktyki i Terapii Uzależnień w Gdyni (opitu.pl).

W sprawach finansowych i długów wsparcie oferuje Centrum Bezpieczeństwa Ekonomicznego w Gdańsku oraz Ośrodek Doradztwa Finansowego i Konsumentckiego w Gdyni (skef.pl), gdzie można uzyskać bezpłatne porady prawne i pomoc w restrukturyzacji zadłużenia.



MNIEJ NAM POTRZEBA BIADOLENIA NAD TRAUMĄ

Za kulisami finału festiwalu literacko-psychologicznego TYlko relacJA w Gdańsku spotkałam się z Elizą Kącką - pisarką, literaturoznawczynią i laureatką tegorocznej Nagrody Literackiej Nike. Rozmawiałyśmy o tym, jak literatura i osobiste doświadczenia splatają się w nowym gatunku – autofikcji. Pisarka opowiedziała też o pokonywaniu barier i relacjach, które wymagają wyjątkowych pokładów wrażliwości...bo czasem język staje się jedynym mostem między światem zewnętrznym a rzeczywistością

Maja Czech

Literatura i psychologia spotykają się na wielu poziomach. Jak pani postrzega te miejsca styczne, szczególnie w kontekście autofikcji?

Mówię o tym przede wszystkim z perspektywy osobistej, bo autofikcja bywa różnie rozumiana. Czasem to świetne narzędzie, a czasem wytrych. Kiedy słyszymy, że coś jest autofikcją, pojawia się od razu pytanie: gdzie kończy się „auto”, a zaczyna „fikcja”? Albo, czy skoro wszyscy tak piszą, to czy to jeszcze literatura? Zdarza się, że krążą i takie opinie.

Jeśli jednak spojrzymy na styki literatury i psychologii w sensie poznawczym, a nie terapeutycznym, to ten obszar jest fascynujący. Trafiałam tam jako pisarka i jako rodzic - nie jako specjalistka. To warzyszenie dziecku uczy bardzo wiele, ale nie jest profesjonalnym przygotowaniem. Jako literaturoznawczyni mam przy tym wrażenie, że literatura długo wyprzedza psychologię w opisywaniu stanów psychicznych. Zanim istniał język diagnostyczny, wielu pisarzy intuicyjnie opisywało to, co dziś nazwalibyśmy spektrum.

To pochwała literatury, jej intuicji i zdolności obserwacji. Wielu wybitnych pisarzy było jednocześnie wybitnymi psychologami, choć nie z wykształcenia, tylko z wrażliwości. Psychologia dopiero później systematyzowała te obszary.

Czy przygotowanie akademickie pomaga w pisaniu? A może jednak przeszkadza?
Mnie nie przeszkadzało. Chronologicznie rzecz biorąc, akademickość była przed litera-

turą, debiutowałam późno. Ale zostałam literaturoznawczynią, bo myślałam literaturą, chciałam o niej pisać, komentować ją, ale z wrażliwością pisarki. Ten impuls twórczy był we mnie od dawna.

Nie miałam też poczucia, że literaturoznawcza część mnie stoi nad kartką i mówi: „tego nie rób”, „to jest niepoprawne”. Te dwie role nie wchodziły sobie w drogę. W czym literaturoznawstwo pomaga? W świadomości tradycji. Lubię wiedzieć, co było przede mną - nie po to, by naśladować, ale żeby nie pisać tak, jakby literatura zaczęła się wczoraj.

To, co potrafi mnie zablokować, to wątpliwości czysto pisarskie: czy napisałam dobrze, czy trafnie rozpoznałam sytuację. To nie są dylematy akademickie, tylko twórcze. Później przyglądam się temu czasem jako literaturoznawczyni,



Eliza Kącka: Słabo się rozumiemy jako społeczeństwo

z różnym skutkiem. Ale nie wierzę, żeby istniała jakakolwiek „recepta akademicka” na tę książkę. Ona wzięła się z wrażliwości, z impulsu, ze specyfiki doświadczenia.

W jednym z wywiadów mówiła pani, że „puka do świata Rudej” („Ruda” to córka Elizy Kąckiej - red.). Ile z tego świata udało się pani już zobaczyć? Czy jest jakiś cel, który widać na horyzoncie?

Ostatecznego celu nie ma. Na pewno nasze światy coraz bardziej się przecinają, choć przenikanie byłoby zbyt daleko idącym słowem. Raczej natchną na siebie w punktach stykowych. Na początku największym problemem była niedostępność - to właśnie stąd wzięła się metafora pukania, a czasem nawet dobijania się. To te momenty, kiedy dziecko nie potrafi powiedzieć, dlaczego jest rozpaczkliwe, a jednak jest. Człowiek

wtedy wariuje, próbuje uruchomić jakikolwiek kanał kontaktu. Ale prawda jest taka, że każdy drugi człowiek jest do pewnego stopnia nie do otwarcia - niezależnie od spektrum. Myślę, że dziś wiem o jej świecie relatywnie dużo. W pewnym momencie zaczęła pewne rzeczy komentować, inne pozostały tajemnicą, i to również jest naturalne. Tak jak nikt nie ma dostępu do moich wewnętrznych światów. Nasza więź jest teraz dużo silniejsza, komunikacja jest znacznie możliwsza. Nie mam już potrzeby zdobywania kolejnych obszarów jej świata. Raczej czekam na to, co ona sama zdecyduje się odsłonić. Czy stanie się z tego materiał na kolejną książkę? Nie wiem. Może tak, może seria tekstów, a może nic z tego wprost nie wyniknie.

Pani książka zdobyła Nagrodę Literacką Nike - serdeczne gratulacje. Czy większa liczba czytelników wiąże się również z obawą przed błędną interpretacją?
Tak, zdecydowanie. Nagroda jest szansą, ale też wystawia

książkę na odbiór przez osoby, które nie muszą wiedzieć, jaką formułę przyjmuje. Do tej pory częściej sięgały po nią osoby przygotowane: świadome, że nie będzie to lektura „prostym językiem”. Teraz trafia szerzej i pojawiają się reakcje typu: „dlaczego nie napisała tego prościej?”, „matka powinna pisać bardziej wprost”, „nagroda pewnie za temat”.

Tymczasem ta książka nie jest poradnikiem, nie pada w niej nawet słowo „autyzm”, nie jest lekkostrawna. Jeśli ktoś tego oczekuje, składa - mówiąc półzartem - reklamację konsumenci. Nagroda czytelników była dla mnie wielkim zaskoczeniem. To duże głosowanie, bardzo emocjonalne opowiedzenie się za książką. Kiedy przyszła nagroda jurorska, wiedziałam już, że odbiór będzie skrajny, i że potrzebna będzie gruba skóra.

Jakie zadanie stoi dziś przed literaturą? Jakich głosów jako społeczeństwo, potrzebujemy najbardziej?

Przede wszystkim potrzebujemy różnorodności. Nie możemy obstawiać jednego biegu, choćby autofikcji. Potrzebujemy solidnych, wyrazistych powieści, bo one rów-

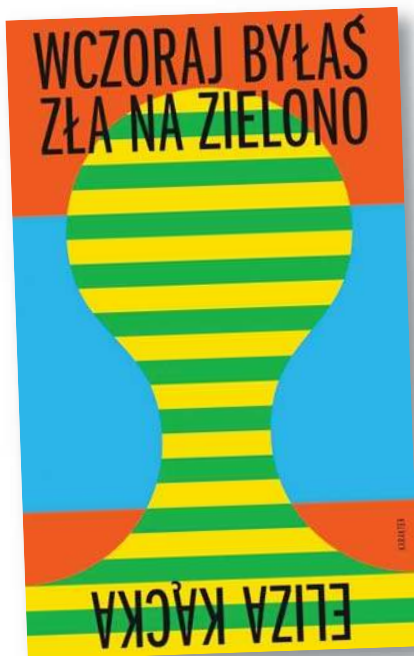
niez potrafią mapować kwestie społeczne, często w sposób niezwykle trafny.

Nie chodzi mi o to, żeby eksplloatować trudne emocje dla samych emocji. Mniej nam potrzeba biadolenia nad traumą, a bardziej literatury, która daje zadanie poznawcze, odsłania światy, których nie znamy. I to nie muszą być światy tożsamościowe czy

związane ze spektrum. Wystarczy sytuacja, która pozwoli wejść w czyjąś perspektywę, w czyjeś okoliczności, zobaczyć je z bliska.

Bardzo słabo się rozumiemy jako społeczeństwo. Pełno mamy przeświadczeń, a bardzo mało wiedzy. Doświadczyłam tego w reakcji na moją książkę i na moją córkę: zachwyty mieszały się z oskarżeniami, że „używam dziecka”, że „na pewno nie wie o książce”, że „musi być do czegoś zmuszana”. To pokazuje, jak wiele mamy uprzedzeń.

Literatura tego nie odkręcałkowicie, ale może coś uruchomić - może sprawić, że ktoś zobaczy żywego człowieka, który mówi, że się siebie nie wstydzi. A potem pomyśli: „To może jednak nie trzeba się tego wstydzic”. To drobna zmiana, ale realna. ©©



CV

Eliza Kącka (ur. 1982 w Lidzbarku Warmińskim)
Polska pisarka, prozaiczka, literaturoznawczyni, doktor nauk humanistycznych, felietonistka i krytyczka literacka, laureatka Nagrody Literackiej „Nike” oraz Nagrody Czytelników za esej „Wczoraj byłaś zła na zielono”. Pracuje na stanowisku adiunkta na Wydziale Polonistyki Uniwersytetu Warszawskiego. Jest członkinią Zarządu Głównego Towarzystwa Literackiego im. Adama Mickiewicza oraz kapituły Nagrody Literackiej Gdynia (od 2019).



TEATR JEST SOCZEWKĄ, KTÓRA UŁATWIA SPOJRZENIE NA CAŁY ŚWIAT

To już niemal 20 lat, jak Adam Orzechowski jest dyrektorem Teatru Wybrzeże w Gdańsku. W tym czasie wiele się wydarzyło i dzieje się nadal - nie tylko na scenie, ale także na dachu teatru, a premiera goni premierę

Grażyna Antoniewicz



Adam Orzechowski z Nagrodą im. Zygmunta Hübnera „Człowiek Teatru” 2025



Jedną z tegorocznych premier jest „Memling, czyli historia końca świata”

W lipcu 2006 roku obejmował pan w gorącej atmosferze teatr po Macieju Nowaku, a teraz...

Nie było łatwo, ale przetrwałem.

Tymczasem wkrótce - pod koniec sierpnia przyszłego roku - kończy się pana czwarta kadencja dyktowania w Teatrze Wybrzeże.

Poprzednia pani ministra wyraziła zgodę na powołanie mnie na kolejną kadencję.

Gratuluje Nagrody im. Zygmunta Hübnera „Człowiek Teatru”.

Dziękuję bardzo. Zygmunt Hübner towarzyszył mi jako całe życie. Podziwiałem jego przedstawienia, czytałem „Sztukę reżyserii”, jeszcze nie będąc studentem reżyserii. Wiedziałem, że jest to twórca, którego warto podziwiać. Tym bardziej miło mi było dostać taką nagrodę.

Sukces goni sukces, ale czy mogło być jeszcze lepiej?

Pewnie zawsze może być lepiej i do tego nieustannie dążymy. Zostałem dyrektorem, jak pani doskonale pamięta, w momencie, w którym frekwencja nie była najsilniejszą stroną tego miejsca i na paru poziomach zmieniło się wszystko. Fundamentalnie. Jest to sukces - nazwijmy go inwestycyjny, a co za tym idzie - artystyczny. Przez te lata powstały nowe sceny Stara Apteka, Malarnia, Scena Kameralna w Sopocie i Duża Scena. Pokoje gościnne dla twórców, budynki teatru są w dobrym stanie. Zawsze wychodziłem z założenia, że to, co się dzieje na poziomie, nazwijmy to, szeroko rozumianej organizacji życia teatralnego, przekłada się później na działalność artystyczną. Żeby aktorzy mogli działać i ujawniać swoje talenty, muszą mieć po-

czucie bezpieczeństwa. Teraz niekiedy trudno kupić bilet na przedstawienie, bo wszystko jest wyprzedane. Myślę, że o czymś to świadczy.

Nieziennie szuka pan tych talentów, wyluskuje...

Chodzę na dyplomy szkół teatralnych, oglądam spektakle w innych miastach, przyglądam się. Mamy bardzo silny zespół, zatrudniamy świetnych twórców. I to jest coś, z czego jestem oczywiście dumny, ale tworzenie zespołu jest procesem, że tak powiem, niejedno-

razowym, tylko to się dzieje stale. Popełniam oczywiście jakieś błędy, ale na pewno Teatr Wybrzeże stał się takim miejscem, w którym absolwenci wielu szkół, tych wszystkich znaczących, chcą być. Jesteśmy takim miejscem marzeń, czy miejscem spełnienia, a wszyscy, którzy do nas przyjeżdżają reżyserować, mówią o jakiejś niesamowitej atmosferze i niesamowitym momencie w ich życiu zawodowym, bo tu wszystko można zrobić, tu wszystko się udaje.

Nie jest to wcale takie proste.

TE 20 LAT BYŁO DOBRYM CZASEM. KIEDY PRZYSZEDŁEM, WIEDZIAŁEM, ŻE MUSZĘ ROBIĆ SVOJE, CHOĆ BYŁY OKRESY TRUDNIEJSZE. A PROBLEMY? NIE, NIE PAMIĘTAM

Oczywiście! Nie wszystko możemy, bo nasze fundusze są jakoś tam ograniczone. Nie ma chyba żadnej instytucji, która może wydawać pieniądze w sposób nieograniczony. Ale staramy się tworzyć miejsce, do którego chce się wracać i w którym chce się pracować.

Ryzykuje pan co sezon, na przykład zapraszając twórcę, który uważany jest za kontrowersyjnego czy wyklętego, lub podejmując temat, który wzbudza emocje?

Uważam, że jesteśmy po to, żeby takie ryzyko podejmować, bo gdzie mamy ryzykować, jak nie w teatrze? Kiedy jestem głęboko przekonany o pewnych rzeczach, wtedy je realizuję. Nie myślę o tym, czy coś jest kontrowersyjne, czy nie.

W jednym z wywiadów powiedział pan: „Teatr nie może być obojętny. Niektórzy mówią, że jest to cios w serce,

żeby pobudzić nasze emocje”.

Ja to ciągle powtarzam, bo uważam, że jest to takie miejsce, w którym powinniśmy jednak ciągle próbować dotykać, naruszać. Nie w sposób prymitywny albo efekciarski, tylko chciałbym, żeby temu towarzyszyła refleksja i jakaś głębsza myśl. Uważam, że stajemy się takim miejscem, mamy do tego również potencjał intelektualny, bo to nie jest tylko tak, że tu fikamy koziołki i jest pięknie, tylko tu jest grupa ludzi, która potrafi wziąć na siebie ten ciężar przekazu intelektualnego. Natomiast, czy ja w każdym sezonie podejmuję świadomie takie ryzyko? Tak, gdy uważam, że coś jest dobre, to w to wchodzę. Teatr jest soczewką, która ułatwia spojrzenie na cały świat. To nie jest oczywiście proste, wielu osobom wydaje się, że wszystko jest na pstryknięcie, że są takie gu-



ziki zielone, czerwone, coś się naciska i to się dzieje, ale to nie jest proste, bo jak pani doskonale wie, nasza rzeczywistość zmienia się bardzo dynamicznie.

A czego jest panu żal?

Czego mi najbardziej żal, a co jest trudne i pewnie nie do uniknięcia, to takie rzeczy, które dzieją się na scenie. Takie, które mogły być lepiej zrobione i mówię to trochę jako dyrektor i jako reżyser. Gdy widzę, że są czasami znakomite teksty, które nie są aż tak dobrze zagrane, jak by mogły być, albo nie są tak dobrze zrealizowane, to wtedy trochę boli mnie serce. Ale z tym się trzeba pogodzić, nie zawsze jest idealnie.

A teraz powiedzmy o planach repertuarowych, bo nie było okazji. Za nami Wybrzeże Sztuki, powołany przez pana Festiwal Wybrzeża Sztuki, komedia „Z miłości” Alana Ayckbourna oraz zachwycający spektakl „Memling, czyli historia końca świata”. Sezon otwierały dwa duże wydarzenia, czyli Festiwal Wybrzeże Sztuki i premiera inspirowana „Sądem Ostatecznym” Memlinga. Agata Duda Gracz bardzo chętnie weszła w temat obrazu Memlinga, sama napisała tekst, wyreżyserowała, zaprojektowała

scenografię i zrobiła bardzo współczesne przedstawienie, z ogromnym wyczuciem formy. To jest na pewno wielkie widowisko, które zachwyca swoją formą, ale też mimo tak zwanych średnio-wiecznych obrazków, które nagle pojawiają się i uruchamiają, to jest wszystko bardzo współczesne. Spektakl był częścią powracającego po sześciu latach Wybrzeża Sztuki. Zależało mi, żeby przywrócić festiwal, podczas którego pomorska publiczność może zobaczyć to, co najlepsze w polskim teatrze, ale też wziąć udział w warsztatach, rozmowach, pobyć z nami przez 16 dni w świecie sztuki. Ale też zobaczyć to, co mamy najlepsze u siebie, czyli spektakle, które w ostatnim roku były najczęściej zapraszane na ważne festiwale.

Za nami dwie premiery, przed nami...

„Nosferatu” w reżyserii Mariusza Grzegorzka. To wyzwanie, bo dramaturgicznie nie jest to temat dobry. „Nosferatu” zostanie zagrany na Dużej Scenie. Widownia będzie siedziała pod horyzontem scenicznym i wszystko będzie się działo przed widzami, a mechanizmy sceniczne uruchomią się i będą wyjeżdżać, zjeżdżać, więc spektakl, mam



Dach Teatru Wybrzeże stał się przestrzenią ogólnodostępną

nadzieję, będzie też jakimś spektakularnym wydarzeniem. Jak pojawia się premiera, to zawsze chcemy, żeby ona była wyjątkowa i spektakularna, ale nie zawsze mamy na to wpływ. Możemy zrobić ją lepiej czy gorzej, ale percepcja utworu też jest ważna. Bywa, że pojawia się taka aura, która powoduje, że spektakl zaczyna dostawać skrzydeł i żyje już własnym życiem. Próby zaczął młody reżyser Patryk Warchoł, pracuje nad przedstawieniem „Ellen Babić” Mariusa von Mayenburga. Potem wróci do nas re-

żyser „Pięknej Zośki”, czyli Marcin Wierchowski. Będzie to historia inspirowana „Idą rakiem” Grassa, ale to, co reżysera najbardziej interesuje, to współczesne źródła powracającego faszyzmu. W dalszych planach jest też sztuka o Günterze Grassie, którą pisze Anna Wakulik. Ja wyreżyseruję tekst Ishbel Szatrawskiej „Żywot i śmierć pana Hersha Libkina z miasta Sacramento w stanie Kalifornia”. W maju Ewelina Marciniak zacznie próby do spektaklu „Podwójne życie Weroniki” Kieślowskiego. Po raz pierwszy będzie współpraco-

wać z nami Małgosia Bogajewska. Z Cezarym Tomaszewskim zrobimy „Ułanów” Jarosława Marka Rymkiewicza, więc to będzie, mam nadzieję, trochę lżejszy materiał. To tekst bardzo inteligentnie napisany. Takie na razie mamy plany.

Zmiany w zespole...

Jesteśmy oczywiście wstrząśnięci śmiercią Krzysztofa Małuszewskiego, bardzo nam go brakuje na scenie. W tym sezonie dołączają do nas Maria Kresa po warszawskiej szkole i Maria Wróbel po dyplomie w krakowskiej szkole teatral-

nej i sukcesach filmowych we Francji.

W tym roku bardzo dużo wyjeżdżaliście na festiwale i wracaliście z nagrodami. Były nagrania telewizyjne. Teraz „Potop” będziecie nagrywali dla Teatru Telewizji. Patrząc wstecz, to nie były łatwe lata. Co było największym wyzwaniem?

Te 20 lat było dobrym czasem. Kiedy przyszedłem, wiedziałem, że muszę robić swoje, choć były okresy trudniejsze. A problemy? Nie, nie pamiętam. Nie chcę pamiętać, nie rozpamiętuję, nie przeżywałem. Idę do przodu, myślę o tym, co należy wykonać, co zrobić, a nie o tym, co było. Jak pani wie, nigdy nie byłem rozpieszczany przez krytykę czy recenzentów, jesteśmy raczej pod takim baczным nadzorem. Gdybym miał przejmować się tym, co wypisują na temat tego wszystkiego, co się tu wydarzało, tobym pewnie musiał popełnić seppuku.

Poza sceną też sporo się dzieje.

Bardzo ważne są dla nas dostępność dla osób ze szczególnymi potrzebami, edukacja. Mamy teraz coffee rave'y na dachu, dziesiątki ludzi tańczą czy trenują jogę, posadziliśmy ogród na dachu. Rozwijamy się.

AUTOREKLAMA

0011427719

Dziennik Bałtycki

do kupienia także w sieci



Zaczynała od konkursów poezji śpiewanej, a teraz próbuje przebić się do muzycznego mainstreamu. W rozmowie z nami o.Lu opowiada między innymi o swoim nowym singlu i zdradza plany związane z wydaniem pierwszego albumu.

Dlaczego o.Lu?

Dla mnie wszystko musi mieć jakieś drugie dno. Lubię, jak brzmi wołacz mojego imienia oraz gdy ludzie w taki sposób się do mnie zwracają. Ta kropka w środku jest zaś takim mrugnięciem okiem do mojej rodziny, do mojej mamy, która często mówiła na mnie Lu. Lubię to zdrobnienie. Natomiast sprawia to dużo problemów, bo ludzie czasem nie wiedzą, jak ten pseudonim zapisać.

Pochodzisz ze Słubic i początkowo śpiewałaś w szkole na różnych apelach, później były konkursy poezji śpiewanej, a teraz starasz się przebić do mainstreamu. Skąd wzięła się Twoja pasja do śpiewania? Dorastałam w dość muzycznym, śpiewającym domu.

Moja mama gra na pianinie i chodziła do szkoły muzycznej. Mój tata również grał na instrumentach. Odkąd pamiętam, jeździliśmy z rodziną na różne wyjazdy, gdzie tata śpiewał i grał na gitarze przy ognisku. To były ballady, piosenki turystyczne i poezja śpiewana. Na tym się wychowywałam. Taką muzyką byłam otoczona i taką muzykę śpiewałam. Wtedy też rodzice zorientowali się, że jako dziecko trafiaam w dźwięki, a ja byłam małą gwiazdeczką i lubiłam występować zarówno przed rodziną, jak i w przed-szkolach. Później rodzice zapisali mnie na lekcję pianina i tak to się zaczęło.

W konkursach poezji śpiewanej odniosłaś spore sukcesy, prawda?

Tak. Swego czasu wygrałam Grand Prix na festiwalu „Wobec własnego czasu” w Wałec-kim Centrum Kultury. To jest ogólnopolski festiwal recytatorski. Dlaczego w ogóle szłam w tę poezję śpiewaną? Nie miałam wyzyszczenia w szkole muzycznej i chciałam sobie udowodnić, że jestem w stanie pisać muzykę skomplikowaną. Chciałam, żeby piosenki miały drugie lub trzecie dno. Chciałam, żeby kompozycje nie były za proste. Chciałam sobie to wszystko udowodnić, ale też w takiej estetyce najbardziej się odnajdywałam.

I udało Ci się udowodnić sobie, że potrafisz?

Tak. Potem zrozumiałam też, że mam nieco inny cel. Chciałabym, żeby moja muzyka była bardziej przystępna dla



28 listopada ukazał się nowy singiel o.Lu. Artystka planuje wydanie pierwszego albumu

NIE JEST ŁATWO PRZEBIĆ SIĘ PRZEZ SZKLANY SUFIT

Gdańska artystka młodego pokolenia wspina się po szczeblach muzycznej kariery. – Wierzę, że jestem jednym z tych głosów, który powinien wybrzmieć – mówi z przekonaniem Ola Klincewicz, znana jako o.Lu

Martyna Kucybała

innych. Chciałam też bawić się moją muzyką, móc do niej zatańczyć, a nie tylko się w niej zagłębiać. Chciałam trochę większą scenę. Nie mówię, że przestałam lubić poezję śpiewaną, tylko po prostu wiedziałam, że nie tylko to składa się na mnie, że chcę czegoś więcej, czegoś innego. I wtedy był ten moment, kiedy powiedziałam sobie, że teraz chcę robić muzykę komercyjną. Czułam się też bardzo bezsilna. Miałam wrażenie, że tak długo, jak nie mam zespołu, nie mam wsparcia w postaci wytwórni muzycznej czy menedżera bądź osoby, która mnie zobaczy, to nie uda mi się osiągnąć tego, czego pragnę. Jednocześnie zrozumiałam, że trzeba wziąć sprawy w swoje ręce. Wydanie mojego pierwszego utworu udało się dopiero w 2024 roku. Momentem przełomowym dla mnie był konkurs „Wrzeszcz do Mikrofonu”, podczas którego dostałam się do finałowej piątki i wygrałam sesję live. Został mi zaproponowany wyjazd

integracyjny, w ramach powstającej wtedy w Trójmieście wytwórni „Idziemy na Solo” i poczułam, że złapałam kontakt z osobami, które trochę bardziej wierzą, które mają możliwości, które chcą pokazać mi, jak to zrobić.

Wszystkie Twoje dotychczasowe utwory zostały wydane w „Idziemy na Solo”?

Tak. Współpracuję z Julitą „Zielą” Zielińską (założycielka wytwórni „Idziemy na Solo” – red.) od początku powstania tej wytwórni. Jest to bardzo żywy twór, który nieustannie się rozwija.

Twoja ostatnia wydana piosenka to „Oszukuj mnie” – utwór, nad którym pracowałeś z uznanym twórcą Patrickiem the Panem. Jak to się stało, że nawiązaliście tę współpracę?

Patrick współpracował wcześniej z moją znajomą artystką. Pewnego dnia stwierdziłam, że może ten utwór, do którego tekst napisał mój przyjaciel Marcin Ślusarczyk, spodoba

mu się na tyle, że będzie chciał nawiązać współpracę produkcyjną. Okazało się, że Patrickowi ten utwór się spodobał. Pojechaliśmy z Marcinem do Krakowa i w trójkę stworzyliśmy „Oszukuj mnie”, do którego powstał też teledysk we współpracy z Mateuszem Andrzejewskim, który jest świetnym człowiekiem na trójmiejskiej scenie kinematograficznej. Patrick dał nam szansę i nadał temu utworowi niezwykle dźwięk. To było to, czego szukaliśmy z Marcinem.

Jak się współpracowało z Patrickiem?

Patrick to niezwykle profesjonalista. Nie było owijania w bawełnę. Była po prostu konkretna praca, co okazało się dla mnie bardzo odświeżające. Byłam też zadowolona z tego, jak sprawnie to nagraliśmy, bo w kilka godzin.

Czujesz, że ten wyjazd do Krakowa i ta współpraca otwiera przed Tobą kolejne drzwi?

Z jednej strony tak, ale z drugiej wiem, że bywa to przewrotne. O ile wierzę, że Patrick kibicuje każdej osobie, z którą podjął współpracę, to nie chcę polegać tylko na tym. Polski rynek muzyczny jest zdominowany przez konkretne nurty i twórców, ale też przez duże wytwórnie czy stacje radiowe. Nie jest prosto przebić się przez ten szklany sufit, a w podziemiu jest naprawdę sporo artystów. Są tam głosy, które powinny mieć szansę wybrzmienia i wierzę, że jestem jednym z nich.

„Oszukuj mnie” to Twój czwarty utwór. Pierwszy był „Żuraw”, później „Charmolipi” i „Perfumy”. Słuchając Twojej muzyki, nie mogę pozbyć się wrażenia, że bardzo mocno wybrzmiewa w niej tekst, że warstwa liryczna jest naprawdę na świetnym poziomie. Mocno wyczuwam, że choć próbujesz przebić się w muzyce komercyjnej, to jednak wywodzisz się z poezji śpiewanej. W czym szukasz

inspiracji, by tworzyć takie utwory?

Głównie koncentruję się na swoich doświadczeniach i emocjach. Lubię zamykać swoją przeszłość i doświadczenia w słowach. Dla mnie tekst jest wartością najważniejszą. Inspirują mnie zatem dobrzy tekściarze, tacy jak Dawid Podsiadło, Artur Rojek, Daria ze Śląska, Stare Dobre Małżeństwo, czy Lao Che. Bardzo lubię mniej znanych, polskich artystów. Monika Kowalczyk ma świetne teksty. Bardzo się cieszę, gdy ludzie mówią o tekstach w moich utworach. Są one dla mnie niezwykle i bardzo ważne.

Piątek, 28 listopada, to dzień premiery Twojego nowego singla – „Lizbona”. O czym jest ten utwór?

„Lizbona” jest o pewnego rodzaju żalu. Żalu, który sprawia, że żyjemy w poczuciu, że wszystko sobie ułożyliśmy, ale ciągle myślimy o kimś, kto zniknął i kto zostawił w nas poczucie niedokończenia oraz pustkę. To również utwór o poczuciu beznadziei, że ten człowiek jest w nas jak nieuleczalna choroba. Co będzie, jeżeli o nim nigdy nie zapomnimy? W „Lizbonie” pada takie zdanie: „Dawno podejrzałam karty, jesteś z tych nieuleczalnych”. To było coś, czego zawsze w moim życiu się bałam – co się stanie, jeśli pokocham tak mocno, że już nie będzie nic innego i nikogo innego.

Będzie to Twój piąty utwór. Czy w takim razie planujesz wydanie swojego pierwszego albumu?

Tak, jestem na takim etapie, na którym chcę podjąć decyzję, czy zamykam część swoich piosenek w EP-kę, czy będę robić album. Obecnie jestem w trakcie trzech kolejnych projektów, które powstają równolegle do siebie. Nie jestem w stanie teraz powiedzieć, kiedy on powstanie, ale jest to moje marzenie, żeby to był album, więc w tę stronę idę.

A skoro wyjdzie album, to planujesz też koncerty i jakąś trasę?

Tak, bardzo chciałabym. Zwłaszcza że wiem, że w niektórych miastach w Polsce są osoby, które mnie słuchają. Chciałabym, ponieważ ten kontakt z publicznością – nieważne czy wielką, czy małą – daje mi bardzo duże poczucie spełnienia i sensu.

Czego zatem życzyć Ci w związku z Twoją muzyczną karierą w nadchodzącym nowym roku?

Marzę o tym, by ludzie mnie zobaczyli, by przez przypadek trafili na mnie, dali się poruszyć i zostali ze mną na dłużej. ©©

OD ROZMÓW NA KORYTARZACH, DO NADWIŚLAŃSKIEGO KORYTARZA TRANSPORTOWEGO

To droga krajowa, która miejscami wygląda zgodnie z nazwą, a miejscami jak droga lokalna. Taka trochę „gorsza siostra” krajówek w naszym regionie, chociaż „matka” (GDDKiA) pamięta o niej na tyle, na ile się da. Jednocześnie, po prawej stronie Wisły nabiera znaczenia. Jest bardzo istotna dla gospodarki, w tym dla branży turystycznej oraz dla obronności i codziennego bezpieczeństwa w ruchu.

Oto „55” - w przyszłości być może część Nadwiślańskiego Korytarza Transportowego

Radosław Konczyński

Mieszkańcy Pomorza z lewego, zachodniego brzegu Wisły, którzy nigdy nie mieli okazji jechać „55” przez Żuławy i Powiśle, prawdopodobnie będą mieli problem ze zrozumieniem idei Nadwiślańskiego Korytarza Transportowego. W ogóle sama nazwa brzmi trochę zagadkowo, a dotyczy po prostu stworzenia nowoczesnej drogi na prawym brzegu Wisły, z północy na południe. Trochę jak „szklany domy” Stefana Żeromskiego? One były tylko wizją, a tutaj droga, a właściwie drogi (bo nie chodzi tylko o „55”) istnieją, tyle że wymagają kompleksowego podejścia w ramach jednego połączenia, w tym przypadku po prostu nazwanego korytarzem.

Każdy odcinek jest trochę inny

Dzisiaj, już biorąc pod uwagę samą DK 55, na niektórych odcinkach określenie „krajowa” jest mocno na wyrost, chociaż zarządca, instytucja państwowa, miejscami ją remontuje i przebudowuje.

- Wiemy o tym, że każdy odcinek jest trochę inny, ma inną



Niektóre odcinki DK 55, mimo remontów, nie przypominają standardem drogi krajowej

funkcję, ma inny przekrój, pełni inne role w ujęciu regionalnym, krajowym i lokalnym - zgadza się Karol Markowski, dyrektor gdańskiego oddziału Generalnej Dyrekcji Dróg Krajowych i Autostrad.

- To, co jest charakterystyczne w przypadku drogi krajowej 55, to mamy tutaj zdecydowanie zachwianą hierarchizację sieci drogowej. Ta droga z jednej strony pełni kluczową

rolę, a z drugiej strony obsługuje miasta i inne miejscowości, przez środek których przebiega. Obsługuje również indywidualne posesje, które są zlokalizowane przy tej drodze. I tu właśnie jest zachwianie tej hierarchizacji, gdzie tak naprawdę jako droga krajowa powinna być klasy GP (droga główna ruchu przyspieszonego - dop. red.), która ma zupełnie inne funkcje - podkreśla dr inż. Mar-

cin Budzyński z pracowni Arteria K&M Consulting Budzyński Ostrowski sp.j.

Mieszkańcy Powiśla i Żuław korzystają z tej drogi na co dzień, natomiast ostatnio miał okazję przejechać się z południa do Malborka senator Bober.

- Doskonale zdaję sobie sprawę, jak ona jest niebezpieczna i uciążliwa. Na niektórych odcinkach jechałem 35

km/h, kiedy pojawiły się ciężarówki, kiedy nie ma możliwości wyprzedzania, a niestety fantazja naszych kierowców powodowała to, że co niektórzy jeszcze w tak trudnych, zimowych warunkach wyprzedzali po linii ciągłej. Nie ulega wątpliwości, że droga 55 jest alternatywą dla autostrady A1 - Ryszard Bober, senator z Jabłonowa Pomorskiego w województwie kujawsko-pomorskim, członek Parlamentarnego Zespołu ds. Budowy NKT.

To bardzo młody twór w parlamencie, bo założony niespełna dwa miesiące temu. W jego skład wchodzi 13 posłów i senatorów z województw pomorskiego, kujawsko-pomorskiego i warmińskomazurskiego. Powstanie zespołu to konsekwencja lobbingu ze strony Stowarzyszenia Samorządów na rzecz NKT, które zaczęło się od burmistrza Nowego Stawu Jerzego Szałacha. Kilka lat temu zabiegał o przebudowę skrzyżowania „55” z drogą gminną do Nowego Stawu.

- Na korytarzach usłyszałem opinię: „Prześcieńcie proszę o lampę, o przejście, o skrzyżowanie, tylko zróbcie coś, żeby przebudować całą drogę 55, bo

tak jak wiele innych dróg, ona wymaga przebudowy”. I ta sugestia zmobilizowała mnie do tego, żeby namówić samorządowców, którzy żyją wzdłuż drogi 55, do utworzenia stowarzyszenia, tak jak się to działo analogicznie przy drodze 22, więc można powiedzieć, że tylko powiełam rozwiązanie. Na początku był pomysł, żeby się nazwać Stowarzyszeniem Samorządów na rzecz DK 55, ale w wyniku już szerszych rozmów uzgodniliśmy tę nazwę: Nadwiślański Korytarz Transportowy - wyjaśnia Jerzy Szałach.

Właśnie dlatego, że nie obejmuje tylko „55”, ale też inne krajówki w województwie kujawsko-pomorskim oraz drogi wojewódzkie w powiecie nowodworskim.

- Mamy tutaj dwa województwa - pomorskie i kujawsko-pomorskie, mamy oprócz tego podstawowy układ, czyli „55”, dwie drogi wojewódzkie 501 i 502 na Mierzeję Wiślaną, mamy również odcinek drogi krajowej 91, połączenie do S5 i mamy odcinek drogi krajowej 95 do autostrady A1 - tłumaczy Marcin Budzyński,

Dokończenie na str. 16

AUTOREKLAMA

0011430402



Jesień

to dobry czas na odkrywanie



- Podróż po miastach
- Smaki kulinarne regionu
- Weekend w SPA i termach
- Aktywny wypoczynek
- Jeszcze jedna historia



stronapodrozy.pl/przewodnik

DROGA 55 - PRZYSZŁOŚĆ NADWIŚLAŃSKIEGO TRANSPORTU?

Dokończenie ze str. 15

którego pracownia na zlecenie stowarzyszenia przygotowała „Studium strategicznego znaczenia połączenia drogowego autostrady A1 z Mierzeją Wiślaną w korytarzu drogi krajowej nr 55”.

To jest strategiczne połączenie

W studium pojawia się wiele szczegółowych wyliczeń, m.in. czas podróży. Już teraz od A1 na Mierzeję Wiślaną tędy jedzie się szybciej od 10 do 20 minut niż zachodnią stroną Wisły. W przypadku wyznaczenia w niektórych miejscach nowego przebiegu DK 55, który omijałby tereny zabudowane, różnica w czasie wynosiłaby około 60 minut przy założeniu limitu prędkości 90 km/h.

Ekspert nie ma żadnych wątpliwości, że NKT powinien powstać, czyli istniejący układ drogowy powinien być wyremontowany, zmodernizowany, przebudowany, rozbudowany - z różnych przyczyn.

- Możemy zaobserwować w skali kraju, że poziom bezpieczeństwa w ruchu drogowym nam się poprawia, ale cały czas na tle Unii Europejskiej jednak nie wyglądamy najlepiej, jesteśmy gdzieś pod koniec stawki. Gorsze od nas są Rumunia i Bułgaria, więc do tych najlepszych krajów jeszcze nam trochę brakuje. Dużo się dzieje, żeby je dogonić, ale dużo jest do zrobienia i na pewno „55” jest przykładem takiej drogi, gdzie rzeczywiście z punktu widzenia bezpieczeństwa jest bardzo dużo do zrobienia. W naszym opracowaniu cała droga została oceniona pod kątem bezpieczeństwa ruchu. Zidentyfikowano tutaj szereg różnych problemów - podkreśla Marcin Budzyński.

Dane za lata 2021-2023 wskazują, że na całej DK 55 doszło do 107 wypadków, było 145 ofiar, w tym 31 ciężko rannych i 9 ofiar śmiertelnych.

- Najczęściej dochodzi do najechań na pieszego, do zderzeń bocznych, czyli to, co jest związane ze skrzyżowaniami, które w wielu przypadkach też nie odpowiadają już współczesnym standardom. Ponadto, wypadnięcia pojazdu z jezdni, uderzenie w jakąś przeszkodę, najczęściej jest to drzewo. Drzewa rosną prawie przy samej krawędzi jezdni, najmniejszy błąd kierowcy powoduje bardzo tragiczne skutki. Mamy też na tej drodze długie proste przy przejściach przez obszary zabudowane, bez fizycznych elementów uspokojenia ruchu, niewłaściwie dobrane bariery, brak bezpiecznego dojazdu do przystanku autobusowego. Bardzo

dużo skrzyżowań i zjazdów. Braki chodników w obszarze zabudowanym. Na części odcinków występuje pewna degradacja tej nawierzchni - wylicza Marcin Budzyński.

Ekspert wylicza, że na kilometr DK 55 są średnio ponad dwa skrzyżowania oraz ponad osiem zjazdów.

- To naprawdę nie jest to dostępne dla kierowców. To musi się zmienić, bo ta droga po prostu nie spełnia podstawowych standardów w tym zakresie, a z tego się biorą też problemy związane z bezpieczeństwem: 0,87 wypadku na kilometr i 0,33 ofiary, ciężko rannych, ofiar śmiertelnych na kilometr. To są bardzo złe wskaźniki. To tylko wypadki, a mamy wielokrotnie więcej jeszcze kolizji, gdzie każda kolizja potencjalnie też może być niestety wypadkiem - podkreśla Marcin Budzyński.

Stowarzyszenie składające się z 19 samorządów jest, oczywiście, w stałym kontakcie z GDDKiA. Dyrektor Markowski wyjaśnia, że obecnie w przygotowaniu jest analiza techniczno-ekonomiczna dla pomorskiej części DK 55, w ramach której w najbliższym czasie będą wykonane m.in. badań laboratoryjne konstrukcji nawierzchni jezdni oraz analizy obciążenia ruchem drogowym. Studium dostarczone przez stowarzyszenie będzie wzięte pod uwagę. Na pewno trzeba zaktualizować je o najnowsze dane obecnie trwającego Generalnego Pomiaru Ruchu.

- Przystępujemy już do działań, prac nad określeniem, zaktualizowaniem kompleksowych danych w obszarach stanu technicznego drogi, natężenia ruchu i prognoz stanu bezpieczeństwa. Na tej podstawie stworzymy listę priorytetów, z uwzględnieniem odcinków z propozycją do technicznego, formalnego i finansowego wykonania harmonogramu. Przedstawimy to w pierwszym, drugim kwartale 2026 roku, ale do tego czasu będziemy konsultować rozwiązania oczywiście z naszą centralą, z ministerstwem. W ramach tych naszych analiz, które wykonamy w ciągu kilku miesięcy, będziemy mieli, po pierwsze, propozycje działań inwestycyjnych z podziałem na poszczególne odcinki, i harmonogram działań - tłumaczy Karol Markowski.

Szef gdańskiego GDDKiA może wypowiadać się nt. „55” na Pomorzu, południowa część to gestia oddziału w Bydgoszczy, a drogi wojewódzkie - służb samorządu pomorskiego. Zdaniem dyrektora Markowskiego, jest już odcinek, który można uznać za pierwszą jaskółkę NKT, mianowicie między Malborkiem a Sztumem.



Na kilometr DK 55 są średnio ponad dwa skrzyżowania oraz ponad osiem zjazdów

Prawie, bo trzeba ok. 10-kilometrowy fragment uzupełnić o infrastrukturę poprawiającą bezpieczeństwo pieszych i rowerzystów. W planie jest przede wszystkim budowa ścieżki pieszo-rowerowej, która połączy miasta. Dokumentacja techniczna już jest, teraz „tylko” kwestia przetargu na wykonawstwo. W ideę NKT wpasowuje się jak najbardziej obwodnica Sztumu, do której przygotowania rozpoczęły się na długo przed korytarzem, a budowa ruszy w przyszłym roku. W ramach kompleksowego programu idealnym rozwiązaniem byłoby też obwodnice Malborka i Sztumu, natomiast jako alternatywę przyjmuje się przebudowę w istniejącym śladzie drogi. To kosztowne elementy. Co prawda, szacunkowy kosztorys powinien być znany w analizie przygotowywanej przez GDDKiA, ale bardzo ogólnie można przyjąć, że cały korytarz to miliardy złotych, skoro sama obwodnica Sztumu szacowana jest na 200 mln zł. Nakłady wielkie, ale chodzi o rozwój i bezpieczeństwo.

- To się wszystko przekłada na wymierne korzyści z funkcjonowania infrastruktury drogowej, czyli oszczędności czasu podróży, oszczędności eksploatacji pojazdów, między innymi zużycie paliwa, zwiększenie komfortu podróży, zmniejszenie ryzyka wypadków, mniejsza emisja spalin i hałasu, możliwości rozwoju przyłączy terenów - wylicza dr Budzyński. - Jeżeli nie będziemy mieli tej drogi w pełnym standardzie, który jest wymagany teraz od infrastruktury drogo-

wej, to po tej części naszych dwóch województw, po tej stronie Wisły, nie ma innego alternatywnego połączenia północ-południe i możliwości strategicznego łączenia ważnych centrów

„Stanąc na głowie, by miało ręce i nogi”

W swojej ocenie pracownia wskazała m.in. na kwestie obronności, czyli znaczenie dobrej infrastruktury do szybkiego przemieszczania się w sytuacjach kryzysowych.

- Tych różnych płaszczyzn związanych z budową drogi musimy szukać, żeby uzasadnić jeszcze mocniej konieczność budowy. Nie byłabym sobą, gdybym nie wspomniała o Żuławach i o tym, że tak naprawdę to w kontekście funkcjonowania naszych Żuław, ale również ich obrony ewentualnej w przypadku konieczności ewakuacji, to ta droga jest po prostu niezbędna. Wszyscy, którzy stąd pochodzimy, doskonale wiemy też, że w przypadku powodzi większość dróg staje się nieprzejezdna i dla nas każde połączenie drogowe, a szczególnie połączenie o tak wysokiej klasie będzie miało ogromne znaczenie. Jestem po spotkaniu w Ministerstwie Obrony Narodowej i zaczynamy batalię o to, żeby infrastrukturę żuławską włączyć do infrastruktury krytycznej. My od wielu miesięcy o tym mówimy, ale nie jest to takie dla wszystkich jednoznaczne i proste. Natomiast jest już duży postęp w sprawie. Mam nadzieję, że będziemy finalizowali właśnie tego typu decyzje i to by nam w znaczący sposób jeszcze

mocniej uzasadniło konieczność budowy właśnie tego korytarza komunikacyjnego - mówi posłanka Magdalena Kołodziejczak, przewodnicząca Żuławskiego Zespołu Parlamentarnego.

Członkinią zespołu ds. Nadwiślańskiego Korytarza Transportowego jest też Magdalena Sroka.

- Ostatnie lata pokazały, że Polska pod kątem transportowym rozwija się w znaczący sposób. Ostatnie trzydzieści lat to gigantyczny postęp, ale to nie znaczy, że my mamy się w tej chwili zatrzymać i nie mamy doprowadzić do sytuacji, w których mniejsze ośrodki miejskie również będą miały i mogły dysponować najlepszą możliwą infrastrukturą. I stąd pomysł, aby utworzyć w końcu w parlamencie zespół, który tym tematem zajmie się tak, żeby można było postawić kolejne kroki w temacie, który jest naprawdę ważny z perspektywy również całego naszego województwa - uważa Magdalena Sroka.

Według Jarosława Wałęsy, nowy parlamentarny zespół musi przypilnować, żeby NKT jako projekt strategiczny jako całość został zapisany w rządowym planie budowy dróg.

- On musi być zapisany całościowo, żeby miał ręce i nogi, a my musimy stanąć na głowie, żeby tak się stało - dodaje Wałęsa.

Senator z Elbląga Jerzy Wciśła wskazuje na bliskość portów w Gdańsku i Elblągu i znaczenie NKT dla tej infrastruktury, ale też przypomina o turystyce.

- Ja szukając miejsca, gdzie będę wypoczywał, zawsze sprawdzam, jak można do celu dojechać. Mierzeja Wiśłana straciła trochę turystów, bo ciężko tam dojeżdżać. Potencjał jantarowego wybrzeża to jest 300 tysięcy turystów, którzy tam mogą wypoczywać. Elbląg, subregion Mierzei Wiślanej to jest kolejne 200 tysięcy miejsc noclegowych do wykorzystania turystycznego czy tej

turystyki biznesowo-konferencyjnej, więc jeżeli ta komunikacja będzie sprawniejsza, to ten potencjał będzie bardziej wykorzystany - uważa Jerzy Wciśła.

„My z tej drogi już nie zawrócimy”

Przedstawiciele zespołu parlamentarnego mieli okazję wypowiedzieć się podczas pierwszego posiedzenia wyjazdowego. Przysłuchiwali się członkowie stowarzyszenia. Zaproszony też został Stanisław Bukowiec, wiceminister infrastruktury, pełnomocnik rządu ds. przeciwdziałania wykluczeniu komunikacyjnemu.

- Tego typu zadania powinny znaleźć się w rządowych programach. Aktualny 7-letni Rządowy Program Budowy Dróg Krajowych kończy się do 2030 r. Jeżeli wszystkie prace dotyczące korytarza będą sprawnie przebiegać, to myślę, że tego typu zadanie powinno znaleźć się w kolejnym programie rządowym na lata 2031-2037, tak aby mieć zapewnione finansowanie w ramach Krajowego Funduszu Drogowego - wyjaśnia wiceminister.

Członkowie stowarzyszenia na pewno będą tego pilnować.

- Myślę, że spotkanie, w który biorą udział zespół parlamentarny, stowarzyszenie i strona rządowa, która jest najistotniejsza w całym temacie, jest początkiem dopiero długiej, żmudnej drogi, ale gwarantuję, że ta droga się rozpoczęła. My z tej drogi już nie zawrócimy. To jest kwestia tylko czasu, kiedy „55” zostanie przebudowana i wyremontowana dla dobra mieszkańców od Stolna do Krynicy Morskiej. Dla dobra nas wszystkich, ponieważ ta droga przyczyni się do rozwoju gospodarczego i społecznego, a więc pośrednio dla lepszego dobrobytu wszystkich nas tu mieszkających, ale też i dla bezpiecznego podróżowania tą drogą na Mierzeję. Mierzeja jest bardzo turystycznie rozwinięta, jednocześnie z brakiem dobrego dostępu, jeżeli chodzi o transport. Ja przyjmuję to spotkanie jako wielki sukces, ale to początek trudnej drogi, tak jak w przypadku DK 22, gdzie skończyła się sukcesem. Oczywiście, wszystko zależy od finansów państwa, od tego, jak będziemy o to zabiegali, ale w imieniu wszystkich 19 samorządów mogę powiedzieć, że po to utworzyliśmy stowarzyszenie, żeby osiągnąć cel, jakim jest przebudowa i remont DK 55 - podkreśla Jerzy Szałach.

Jak oszacowano, w obrębie Nadwiślańskiego Korytarza Transportowego żyje ok. 400 tys. mieszkańców. ©©

*POZIOM BEZPIECZEŃSTWA
W RUCHU DROGOWYM NAM SIĘ
POPRAWIA, ALE CAŁY CZAS
NA TLE UNII EUROPEJSKIEJ JEDNAK
NIE WYGLĄDAMY NAJLEPIEJ*

Rusza nabór wniosków na refinansowanie wymiany tachografów na inteligentne!



Andrzej Styn Dyrektor Pomorskiego Oddziału Regionalnego ARiMR informuje, że od 1 grudnia 2025 r. przewoźnicy drogowi mogą składać wnioski o pomoc de minimis na pokrycie kosztów wymiany tachografów starszej generacji na inteligentne tachografy drugiej generacji (G2V2). Pomoc udzielana jest w ramach Planu Rozwojowego i ma na celu wsparcie bezpieczeństwa transportu.



Możliwość składania wniosków o udzielenie pomocy de minimis w zakresie refinansowania wyposażenia w inteligentny tachograf potrwa **od 1 grudnia 2025 r. od godziny 10:00 do 31 stycznia 2026 r. do godziny 23:59.**

Pomoc udzielana jest na pokrycie części albo całości wydatków poniesionych w związku z wymianą tachografów na tachografy inteligentne (G2V2). Wsparcie dotyczy pojazdów, którymi wykonywane są międzynarodowe przewozy drogowe rzeczy lub osób, a które muszą być zgłoszone do licencji wspólnotowej. Uprawnieni przewoźnicy drogowi to przedsiębiorcy wykonujący działalność gospodarczą w zakresie transportu drogowego, którzy mogą skorzystać z tej formy pomocy.

Okres objęty wsparciem to czas, w którym istniał obowiązek wymiany urządzeń – czyli od 21 sierpnia 2023 r. do 18 sierpnia 2025 r., ponieważ przewoźnicy drogowi wykonujący międzynarodowe przewozy na terytorium Unii Europejskiej pojazdami wyposażonymi w starsze wersje i generacje tachografów, podlegali obowiązkowi ich wymiany na tachografy inteligentne wersji drugiej do dnia 18 sierpnia 2025 r.

Warto zaznaczyć, iż pomoc jest udzielana w formule de minimis. Oznacza to, że jej łączna wartość, wraz z inną pomocą de minimis przyznaną przewoźnikowi w okresie trzech lat, nie może przekroczyć 300 tys. euro. Maksymalna wysokość wsparcia wynosi 3000,00 zł na jeden pojazd. Kwota ta odpowiada kosztowi wyposażenia pojazdu w inteligentny tachograf, ale nie może przekroczyć wspomnianego limitu.

Wsparcie będzie udzielane z uwzględnieniem następującej kolejności:

1. W pierwszej kolejności pomoc jest udzielana na refinansowanie wyposażenia w inteligent-



ne tachografy maksymalnie dziesięciu pojazdów zgłoszonych do licencji wspólnotowej przez jednego przewoźnika.

2. W drugiej kolejności pomoc jest udzielana wszystkim uprawnionym przewoźnikom drogowym na pozostałe pojazdy bez ograniczenia ilościowego.

Wniosek wymaga podania informacji, w tym:

- Dane dotyczące uprawnionego przewoźnika drogowego, wraz z nu-

merem licencji wspólnotowej i numerem teczki przewoźnika w systemach teleinformatycznych.

- Dane pojazdu, w którym dokonano wymiany tachografu (m.in. numer rejestracyjny).
- Numer identyfikujący inteligentny tachograf.
- Dane dotyczące uprawnionego instalatora lub warsztatu prowadzonego przez Głównego Inspektora Transportu Drogowego.

Do wniosku uprawniony przewoźnik drogowy musi dołączyć:

- Potwierdzenie wyposażenia pojazdu w inteligentny tachograf.
- Wydruk danych technicznych z inteligentnego tachografu.
- Kopie zaświadczeń albo oświadczenia dotyczące pomocy publicznej.

Serdecznie zapraszam do odwiedzenia stron internetowych Agencji Restrukturyzacji

i Modernizacji Rolnictwa oraz Ministerstwa Infrastruktury, na których znajdują się szczegółowe informacje o zasadach naboru i warunkach przyznania pomocy.

Pamiętajmy, że wnioski będzie można składać wyłącznie w formie elektronicznej a formularz będzie dostępny na Platformie Usług Elektronicznych ARiMR pod adresem <https://epue.arimr.gov.pl/>.

REJSUNKI



RYS. ISKRA

AUTOPROMOCJA

Dziennik Bałtycki

Gotuj się na **sobotę**

W magazynie „Weekend z rodziną”
smaczne domowe przepisy
dziennikbałtycki.pl

AUTOPROMOCJA

Dziennik Bałtycki

Dzień dobry
w **poniedziałek**

dziennikbałtycki.pl

ZWYKŁE-NIEZWYKŁE ZDJĘCIA „PANA DRZAZGI”

Wyszedł już z drukarni album
„Fot. Zbigniew Kosycarz. Niezwykłe zwykłe
zdjęcia”, który zawiera ponad 220 starannie
wyselekcjonowanych fotografii

Grażyna Antoniewicz



szczęsną uliczkę Broniewskiego.”

Był tak popularny, że krąży anegdota o tym, jak to podczas wizyty prezydenta Francji Charlesa de Gaulle’a, gdy robił zdjęcie, ktoś spytał, kim jest ten wysoki facet w dziwnej czapce obok Zbyszka Kosycarza?

Zbigniew Kosycarz przybył do Gdańska w 1945 roku, zaczął studiować malarstwo w sopockiej szkole plastycznej, ale wkrótce pochłonie go inna pasja. Fotografia. Zaczyna robić zdjęcia do szwedzkiej agencji i polskich gazet „Przekroju”, „Rzeczpospolitej” - ma w niej nawet czołówkę (1947 rok) z wiodowania rudowęglowca „Sołdek”. Pierwszym jego aparatem był kodak retina. Przez pewien czas pływał na Batorym, jako fotograf, współpracował też z „Dziennikiem Bałtyckim”, ale od marca 1949 roku na stałe związał się z „Głosem Wybrzeża”.

- Ten album jest inny od pozostałych ponieważ, jest poświęcony tylko zdjęciom Zbyszka, jest on ukoronowaniem jego setnej rocznicy urodzin - opowiada Hanna Kosycarz synowa i szefowa agencji fotograficznej Kosycarz Foto Press. - Sięgamy do zdjęć już publikowanych, ale nie brakuje w tym albumie perełek odkrytych niedawno, które przetrwały dziesiątki lat w postaci negatywów, w teczkach pozabawionych warstwy opisowej. Według mojej subiektywnej oceny to są jego najlepsze zdjęcia, Pokazują talent Zbyszka, jego wrażliwość na to co się dzieło na ulicy, w życiu codziennym. Album jest tak ułożony, że jest jedno zdjęcie na stronę czytelnik skupia się bardziej na obrazie niż na opisie. Nie chodziło nam na opowiadanie jakiejś historii z naszego regionu, tylko na tym, żeby skupić się na fotografii. Moje ulubione zdjęcie? Od dawna lubię bardzo to, które nazywam „dziura w płocie”. Jest na nim drewniany płot, przez uchylony szczebel spogląda dziadek, który ma na głowie czapkę i mały wnuczek, a na tyłach...?

Premiera albumu 6 grudnia w Gdańskim Centrum Handlowym Manhattan.

Lata '50 - któż wówczas nie marzył o takim skuterze?
Dwie gdańszczanki oglądają model Peugeot S 157 B

REKLAMA

0011439222

Burmistrz Bytowa

ogłasza przetarg pisemny nieograniczony
na najem obiektu Zamkowego z przeznaczeniem
na prowadzenie działalności hotelowo-restauracyjnej
przy ul. Zamkowej 2 w Bytowie



Lp.	Nr działki	Pow. działki	KW	Położenie nieruchomości	Opis nieruchomości	Przeznaczenie nieruchomości w planie miejscowym	Forma zbycia gruntu	Wywoławczy czynsz miesięczny płatny z góry do 20 każdego miesiąca	Wadium w złotych
1.	92	755 m ²	SL1B/00017998/7	77-100 Bytów ul. Zamkowa 2, obręb Sto dwa	- południowe skrzydło zamku bytowskiego stanowiące część hotelowo-restauracyjną o łącznej pow. 1.632,61 m ² (część restauracyjna 391,96 m ² , część hotelowa 1.240,65 m ²) - mienie ruchome stanowiące częściowe wyposażenie restauracji. Baza hotelowa mieści się na I i II piętrze oraz na poddaszu. Na I piętrze położonych jest 5 pokoi dwuosobowych. Na II piętrze położone są 2 pokoje jednoosobowe, 6 pokoi dwuosobowych oraz 5 pokoi trzyosobowych. Na poddaszu mieści się 10 pokoi dwuosobowych oraz 1 jednoosobowy. Na każdej kondygnacji przewidziano pomieszczenia pomocnicze.	Teren zabudowy usługowej i zieleni urządzonej. Prowadzenie działalności hotelowo-restauracyjnej	najem na okres do 9 lat od zawarcia umowy z możliwością przedłużenia na dodatkowy okres do 9 lat.	24.098 zł + VAT w okresie od podpisania umowy do 31 marca 2026 r. czynsz będzie płatny w wysokości 1 zł + VAT czynsz w pełnej wysokości płatny od 1 kwietnia 2026 r.	60.000

Publiczne otwarcie ofert w dniu 30 grudnia 2025 r. o godz. 10:00 (Sala Nr 101 Urzędu Miejskiego w Bytowie). Pełna treść ogłoszenia została opublikowana na stronach internetowych www.bytow.pl i www.bip.bytow.pl. Osoby zainteresowane zobowiązane są zapoznać się z treścią pełnego ogłoszenia. Oględziny nieruchomości 9 grudnia 2025 r., godzina do uzgodnienia. Zastrzega się możliwość zamknięcia przetargu bez wybrania którejkolwiek z ofert.

nibyartysta,

nibygoty,

nibyludowy,

nibyorientalny,

nibyromantycznie;

nibystona,

nibyjagoda,

nibyktoś,

nibyliście,

nibynóżki,

nibytorebka

PULS
#192

Reforma nie na niby.
Wchodzą zmiany
w ortografii
STR. 20-21

Co Pani sobie pomyślała, kiedy usłyszała o reformie, która będzie obowiązywać od 1 stycznia 2026 roku?

Zależy, o jakie zmiany chodzi. W przypadku zapisów przedrostka „super-” z rzeczownikami, przymiotnikami i przysłówkami pomyślałam: „W końcu!”. Apelowalam o to, prosiłam od dłuższego czasu. Mówiłam, że to martwa zasada, bo łącznie ten przedrostek zapisuje garstka osób, więc zmiana wydaje się najlepszym rozwiązaniem. Sugerowałam, żeby nie rezygnować z tej łącznej pisowni, akurat mnie jest ona bliska, tylko żeby wprowadzić wariantowość i dać możliwość zapisywania i tak, i tak. Natomiast zaskoczona byłam tym, że będziemy teraz zapisywać „nie” z przymiotnikami w stopniu wyższym i najwyższym łącznie. Z jednej strony wiem, że prawie nikt nie pisał na przykład „nie najlepszy”, czyli „nie” oddzielnie, ale z drugiej strony akurat ja tak robiłam i było to dla mnie naturalne. Nie ukrywam, że z trudnością przyjdzie mi przestawianie się od 1 stycznia 2026 roku na nowy zapis i to jedyny poprawny.

A jeśli chodzi o zapisywanie nazw mieszkańców miast i dzielnic wielką literą?

W tym wypadku czułam, że należy to zmienić, bo wiele osób odczuwa silniejszą więź ze swoją miejscowością, z miastem, z dzielnicą niż z całym regionem. Skoro nazwę mieszkańca całego regionu pisaliśmy wielką literą, to uważam, że nazwę mieszkańca miasta też należałoby tak zapisywać. Tym bardziej że nazwy miast i miejscowości zapisujemy dużą literą, to dla czego mieszkaniem miałyby być pisane małą? Uważam więc, że jest to dobra zmiana. Podkreśla nasz emocjonalny związek i emocjonalny stosunek do miejsca, z którego pochodzimy. Uważam, że przestawienie się na tę nową pisownię będzie akurat dość łatwe.

Czy ta reforma, Pani zdaniem, będzie jakimś przewrotem kopernikańskim, czy raczej uporządkowaniem tego, co już dawno powinno zostać spisane, skoro i tak pisaliśmy w ten sposób w codziennych tekstach czy w mediach?

To jest próba nadążenia za tym, co realnie dzieje się w języku, więc żadna to rewolucja. Tak jest w przypadku przedrostka „super”, „nie” z przymiotnikami czy ze zdaniem: „Gdyby kózka nie skakała, toby nóżki nie złamała” - bardzo mało osób wiedziało, że „toby” zapisujemy łącznie (od 2026 roku oddzielnie). Lata temu zwróciłam uwagę na to, że „tuż-tuż” zapisujemy z łącznikiem, a „puk, puk” z przecinkiem. Nie rozumiałam dlaczego. Gdy otworzyłam listę zmian, które nas czekają od stycznia, dowie-

Od 1 stycznia 2026 roku będziemy pisać „Warszawianka” wielką literą, a „nie” z przymiotnikami w stopniu wyższym łącznie. To nie rewolucja, tylko dogonienie tego, co się dzieje w języku – mówi Paulina Mikuła, popularyzatorka wiedzy o języku polskim, twórczyni profilu „Mówiąc inaczej” i autorka „Prostego poradnika językowego”. Co zmieni się w pisowni?

Anita Czapryn



Paulina Mikuła: Te zmiany to jest próba nadążenia za tym, co realnie dzieje się w języku, więc żadna to rewolucja

PAULINA MIKUŁA: JĘZYK TO NASZ DOBROSTAN. REFORMA PORZĄDKUJE ZASADY PISOWNI

działam się, że pary wyrazów typu „puk puk”, „pif paf”, „trzask prask” będziemy mogli zapisywać na trzy różne sposoby. I w końcu to ma sens, w końcu jest logiczne. Uważam więc, że wiele tych zmian to jest, po pierwsze, próba nadążenia za tym, co się realnie w ję-

zyku dzieje, a po drugie, te zmiany spowodują, że nasza ortografia będzie bardziej spójna i logiczna. Niektórzy językoznawcy zwracają uwagę, że pewna zmiana dotycząca wyrazów takich jak „miłoszowski”, „miłoszowy” albo „Miłoszowy”, wprowadza trochę za-

mieszania, bo niekiedy teoretycznie będzie można zapisywać i tak, i tak. A ktoś może pomyśleć, że powinien obowiązywać zapis tylko małą literą i uznać, że popełnił błąd. Wiem jednak, że językoznawcy słuchają różnych uwag i je uwzględniają, bo na przykład

Rada Języka Polskiego jeszcze 7 listopada wycofała się z jednej zmiany dotyczącej zapisu nazw typu „pustynia Gobi”, „jezioro Gopło”. Być może więc zrozumiemy, że jeśli chodzi o końcówki „-owy”, „-owski”, zasada nie do końca jest jasna. Mam na myśli to, że do niektó-

rych nazwisk można dodać zarówno końcówkę „-owy”, jak i „-owski”. Po zmianach w przypadku „-owski” będziemy stosować pisanie małą literą, a w przypadku „-owy” poprawny będzie zapis i taki, i taki. To nie do końca jest jasne i wprowadza trochę wątpliwości. Być może tak zostanie, a być może językoznawcy wysłuchają uwag dotyczących akurat tej zmiany.

Jak Pani myśli, kogo ta reforma najbardziej zabolí: nauczycieli, osoby zajmujące się korektą i redakcją w wydawnictwach, samych maturzystów, czy w ogóle ludzi takich jak Pani, która będzie musiała już setny raz tłumaczyć, że teraz to już naprawdę piszemy razem?

Moim zdaniem dobrze byłoby, żebyśmy dali sobie czas na przyswojenie tych zmian i nie biczowali się za to, że ktoś na przykład cały czas używa dawnej pisowni. Niech to będzie kilka miesięcy, może rok tolerancji i akceptacji, że może występować i taka, i taka pisownia, zanim ludzie się przestawiają. Ale rzeczywiście to nie do końca dotyczy redaktorów książek, więc moim zdaniem najtrudniej będą mieli właśnie redaktorzy i korektorzy, którzy zajmują się tekstami publikowanymi. Tam będzie już trudniej stary zapis uzasadnić i obronić. Moim zdaniem trudne zadanie przed nauczycielami, którzy będą musieli te zmiany wytłumaczyć przerażonym uczniom. Ci zapewne przeżyją szok związany z tym, że to, czego dawniej się uczyli, jest już nieaktualne. Myślę jednak, że nauczyciele przede wszystkim powinni uspokajać uczniów. Zmian jest jedenaście, a część z nich naprawdę powoduje, iż zasady stają się bardziej intuicyjne i bliższe temu, jak realnie piszemy.

Mam nadzieję, że nie pojdziemy w tę stronę, żeby zrezygnować z używania interpunkcji, z czego młodzi ludzie praktycznie już zrezygnowali; niektórzy wręcz uważają, że kropka na końcu zdania ich obraża.

Nie, to się nie wydarzy. Zresztą obecne zmiany nie dotyczą interpunkcji, tylko ortografii, więc warto to zaznaczyć i oddzielić. A jeśli chodzi o kropkę na końcu zdania, to wynika to ze specyfiki mediów społecznościowych. Dla wielu osób psychicznie, psychologicznie kropka to „enter”. Czyli: jeżeli piszemy zdanie i je wysyłamy, to klikamy „enter” i to jest ta kropka. Dlatego jeśli postawimy kropkę dodatkowo, dla wielu osób to informacja, że na przykład jesteśmy zli albo rozczarowani. I to nie jest kwestia jakiegoś uproszczenia czy dziwactwa, tylko, moim zdaniem, kwestia głęboko psychologiczna. Myślę, że trzeba o tym rozmawiać. To, co się dzieje z językiem w związku

z internetem, mediami społecznościowymi i nową technologią, wymusza na nas komunikowanie swoich potrzeb. Na przykład informowanie: „Dla mnie kropka nie oznacza nic oprócz tego, że zakończyłam zdanie. Będę te kropki stosować, bo tak się nauczyłam i to jest dla mnie naturalne”. Wtedy druga osoba albo to przyjmie, albo nie przyjmie, ale ważne, że komunikujemy swoje potrzeby językowe – w taki sposób trzeba na to patrzeć.

Często Pani mówi i pisze, że język jest naszą wizytówką. Pamięta Pani taką sytuację, kiedy czyjeś słowa z jego wizerunkiem kompletnie się rozjechały?

Od razu przychodzą mi do głowy politycy, którzy mówią pięknie i gdy ich słuchamy, to może nawet im wierzymy, ale potem ich czyny mówią coś zupełnie odwrotnego. Jednak z moich doświadczeń wynika, że jeśli ktoś mówi poprawnie, barwnie, kwiecicie, płynnie, to jednak wykazuje się jakąś wrażliwością, uważnością. Zazwyczaj jest wykształcony, wiarygodny, kompetentny. Owszem, zdaję sobie sprawę z tego, że można mówić pięknie i być gburą, ale zazwyczaj kultura języka i kultura osobista idą w parze.

Na rynku ukazała się właśnie Pani najnowsza książka, „Prosty poradnik językowy”. Zainteresował mnie rozdział „Słowa i sformułowania, co do których zmieniłam zdanie”. Co było dla Pani największym językowym nawróceniem?

Nie wiem, czy największym, ale na pewno największym rozczarowaniem było odkrycie, że na studiach uczono mnie czegoś, co w ogóle nie jest prawdą. Mówiono nam, że „nie tylko... lecz także” to spójnik skorelowany i jeśli zaczynamy zdanie od „nie tylko”, to musimy postawić „lecz także” i nic innego. Językoznawcy, autorzy „Dobrego słownika” przeprowadzili małe śledztwo, a w zasadzie nawet nie musieli, bo ktoś inny już to wcześniej zbadał, i z tego śledztwa wynika, że nie ma takiej zasady. Prawdopodobnie powodem zamieszania jest pomyłka, błędna interpretacja słów innych językoznawców. Dlatego możemy powiedzieć zarówno „nie tylko...”, „lecz także...”, jak i „nie tylko...”, „ale także...”, „nie tylko...”, „ale również...”, „nie tylko...”, „ale też...”. Po prostu wszystkie kombinacje są dozwolone. Pamiętam, że na studiach byłam dumna, że znam tę zasadę, że wiem, jak zapisać ten spójnik. Opowiadałam o nim wszystkim, ale nie na zasadzie agresywnego poprawiania, tylko ciekawostki. Po czym okazało się, że to nieprawda. Każdy może pisać, jak chce, możemy używać różnych wariantów. To był duży zwrot w moim przypadku. Inny przy-

kład! Zawsze uczono mnie, że mówimy „dostałam okresu”, czyli słowo „okresu” jest w dopełniaczu. Tak jak „dostałam gorączki”, „dostałam kataru”, bo to w pewnym sensie dolegliwość, a gdy dolegliwości łączymy z czasownikiem „dostać”, powinny być w dopełniaczu. Z czasem okazało się, że nie do końca tak jest. Zasada rzeczywistości jest taka, ale bardzo dużo kobiet, dziewczyn, w Polsce łączy ten czasownik z rzeczownikiem w bierniku, czyli mówią: „dostałam okres”. Dla niektórych forma „okresu” jest tu nienaturalna, dziwna, nie chcą też, żeby była im narzucana. Gdy czytałam takie głosy, rozumiałam tę potrzebę części kobiet i po prostu zmieniłam zdanie. Uznałam: „Okej, ja zostaję przy dopełniaczu, ale nie narzucamy tego dopełniacza wszystkim”. Jeżeli ktoś woli mówić „dostałam okres”, tak jak się „dostałam prezent”, bardzo proszę.

W książce pojawia się pojęcie prostego języka. Co dla Pani jest największym wyzwaniem: uproszczyć tekst czy powstrzymać się od fachowego żargonu, który niektórzy mogą uznać za przemądrzały?

Dla mnie akurat wdrażanie prostego języka jest dość naturalne, ponieważ zazwyczaj poruszam się w mediach społecznościowych, gdzie i tak ten prosty język intuicyjnie stosujemy. Gdy ktoś używa słów wielokrotnie złożonych, to trudniej się to czyta, chociaż niektórzy mają taki styl i takie pióro. Ale wiem, że w internecie o wiele bardziej sprawdzają się krótkie zdania i zwięzłe teksty, więc od dawna z prostego języka korzystam. Wydaje mi się jednak, że jeżeli chodzi o język urzędowy, kancelaryzmy, język prawny, to upraszczanie jest ogromnym wyzwaniem. Mimo wszystko uważam, że warto to robić. Kiedyś miałam spotkanie z policjantami i policjantkami, którym opowiadałam o prostym języku. Część z nich kręciła głową, dając sygnał, że nie da się zrezygnować z przyjętych form albo z takich konstrukcji jak: „do zdarzenia doszło” czy „powzięliśmy informację”. Moim zdaniem da się to wszystko uprościć. Tylko że w niektórych branżach ten słownik jest tak wrośnięty, tak zakorzeniony, że wdrożenie jakiegokolwiek zmiany będzie się wiązało z ogromnym wysiłkiem. No ale moim zdaniem warto. Tym bardziej że niekiedy prosty język to niezwykle prosta zmiana, na przykład zmiana kolejności tego, o czym piszemy. Gdy dostajemy informację o wyroku, to na początek dajmy informację, co się z tym wyrokiem stało, a dopiero potem, na podstawie jakiego paragrafu. Teraz często jest odwrotnie: „Na podstawie paragrafu...” i cała strona na ten temat, a dopiero na drugiej stro-

nie znajdzie się najważniejsza informacja, na przykład taka, że wyrok został uprawomocniony. Już zmiana kolejności spowoduje, że czytającemu będzie łatwiej i przyjemniej. Bo w prostym języku chodzi o to, żeby wszystkim było miło: i temu, kto pisze, i temu, kto czyta, i temu, kto mówi, i temu, kto słucha.

Gdzie jest granica między językiem prostym a prostackim? Kiedy słyszę to pytanie, zwykle wtedy przytaczam historię, którą podzielił się doktor Tomasz Piekot. Wyobraźmy sobie, że płyniemy łódką i nagle widzimy most z niskim prześłem. Jeżeli przeczytamy na nim napis: „Kryj ryj”, będzie to prostackie i wulgarnie. Jeżeli przeczytamy: „Uważaj na głowę” – to będzie prosty język. Uchylimy głowę i nie zderzymy się z przesłem. A jeżeli ktoś tam napisze: „Uwaga, szanowni państwo, informujemy, że most ma niskie prześło, prosimy o uchylenie...” – to zanim przeczytamy wszystko do końca, najpewniej z tym mostem się zderzymy.

Typowy błąd, który mnie razi, to nagminne „w każdym bądź razie”. Mówią tak i ludzie wykształceni, i niewykształceni. Z drugiej strony, właśnie dlatego, że język jest naszą wizytówką, to uważam, że fajnie jest mówić: „w każdym razie” albo „bądź co bądź”. Tak myślę. I właśnie w takim duchu napisana jest ta książka: że bezpieczniej, fajniej i lepiej mówić zgodnie z normą, ale też zależy, w jakiej sytuacji. Gdy występujemy publicznie albo jesteśmy w sytuacji oficjalnej, to tym bardziej.

Wróć jeszcze do jednego rozdziału z Pani książki: „Największe zagwozдки językowe”. Są takie zagwozдки, które dzielą pani odbiorców i nie ma szans ich pogodzić? Zagwozдки akurat nie dzielą, ale bardzo dzieli wariantywność. Na przykład fakt, że rozdziałami rejestry na rejestr wysoki, z którego korzystam w sytuacjach oficjalnych, i rejestry niższy, zarezerwowany dla kontaktów nieformalnych, i informuję, że na przykład „brać na tapet” to poprawna forma i jej bezpiecznie używać w tym wyższym rejestrze, ale w sytuacji, kiedy rozmawiam z koleżanką, kolegą, z najbliższymi, to absolutnie nic się nie stanie, jeżeli „weźmiemy coś na tapetę”. Bo ta „tapeta” jest bliższa naszym współczesnym realiom, temu, co nas otacza. Nikt z nas praktycznie nie używa tapetu, a tapetę każdy ma na komputerze. Ale zauważyłam, że bardzo dużo osób, jak tylko pojawia się informacja, że można pisać i tak, i tak, że można wybrać, reaguje alergicznie, jakby coś strasznego działo się z językiem. Może

szkoła nas nauczyła, że tylko jedna odpowiedź jest poprawna i dzięki temu ludzie czują się bezpiecznie, czują, że rozumieją świat. Nie pamiętam, czy w książce to wybrzmiało, ale coraz częściej słyszę, że reagowanie niezgodą na błędy językowe bywa nazywane klasyzmem; umniejszaniem, próbą zdyskredytowania drugiej osoby ze względu na to, że popełnia błędy. Na pewno zaś wspomniałam o tym, że istnieje coś takiego jak dobrostan językowy. To robocze określenie, które stworzyli językoznawcy, ale ono pięknie oddaje istotę rzeczy. Nauczyliśmy się tego, że poprawna forma jest taka, a nie inna, więc kiedy ktoś nagle zaburza ten obraz, tę bańkę, w której czujemy się bezpiecznie, to w nas coś się uruchamia, pojawia się zdziwienie, a nawet sprzeciw: „Nie, tak się nie mówi”. Domyślam się, że niektórzy wytykają błędy po to, żeby samemu poczuć się lepiej. Ale są też tacy, którzy mówią: „Kocham mój język, jestem z nim związana i nie chcę, żebyśmy odchodzili od tych form”. To też trzeba zrozumieć. Warto powtarzać, że to nie zawsze jest klasizm, nie zawsze próba upokorzenia kogoś, tylko czasem zadbanie o własny dobrostan językowy. A jeśli chodzi o internet, to apelowałam, żeby, jeśli już ktoś musi zwrócić uwagę, robić to w wiadomości prywatnej, a nie w komentarzu na forum. Wczoraj dostałam wiadomość od pana, który napisał do mnie właśnie prywatnie i zaczął tak: „Piszę wiadomość, żeby cię nie urazić, ale w jednym z filmów powiedziałaś [kafort], a nie [komfort] i chciałem ci na to zwrócić uwagę”. Wtedy wysłałam mu link do słownika, w którym jest napisane, że wymawiamy to słowo na dwa sposoby. Po pierwsze, poczułam, że ktoś z delikatnością i troską do mnie napisał właśnie w wiadomości prywatnej, a nie w komentarzu. A po drugie, ja również, odpowiadając mu, nie upokorzyłam go publicznie, pisząc, że „można i tak, i tak”, więc się myli. Wymieniliśmy się informacjami w prywatnej korespondencji. Ja poczułam się komfortowo, nomen omen, i ta druga osoba również. Naprawdę nie zawsze mamy rację, zwracając komuś uwagę na błędy; czasami to nam brakuje wiedzy.

Miała Pani jakiegokolwiek obawy, że ktoś złapie Panią na błędzie, że zabraknie tematów, że ludzie się znudzą? Choć to ostatnie to chyba mało prawdopodobne? Tak, to jest worek bez dna. Język cały czas się zmienia, a zmienia się coraz szybciej, między innymi ze względu na język internetu, który jest bardzo dynamiczny i realnie wpływa na to, jak mówimy na co dzień. Będzie to więc nie-

kończąca się historia i będę się tym zajmować tak długo, na ile mi starczy sił. A jeśli chodzi o obawy, to jak najbardziej, od początku, w zasadzie od pierwszego filmu, jestem rozliczana z każdego słowa, każdego przecinka. Przeżywałam różne kryzysy, czasem nie miałam już siły, czułam się bardzo niekompetentna, nie dawałam sobie przestrzeni na błędy. A tych nie unikniemy, bo jesteśmy tylko ludźmi. Zaczynałam, mając 25 lat, ale dojrzałam i w pewnym momencie odpuściłam. Zaczęłam apelować o to, żeby tak bardzo nie krytykować innych za błędy, a jeśli już, to właśnie w wiadomości prywatnej, a nie na forum. Obawy jednak są: jakkolwiek post opublikuję, jestem rozliczana z najmniejszej wpadki. W przypadku postów sprawa jest prostsza, bo można je wyedytować. W przypadku książki, już niczego nie mogę poprawić. W wydawnictwie włożyliśmy maksimum pracy w to, żeby książka była dobrze zredagowana. Tyle że wciąż zajmowali się tym ludzie, nie roboty, więc mimo naszego wysiłku mogą się tam znaleźć jakieś niedociągnięcia, literówki. Teraz pracuję nad sobą, żeby być na to gotową i w razie czego nie biczować się za to, że nie jest perfekcyjnie.

Gdyby miała Pani wybrać jedno słowo z polskiego internetu z XXI wieku, z lat 20., które byłoby symbolem tej epoki, to jakie by było? To chyba zależy od generacji. Na przykład w przypadku młodszych myślę, że takim słowem mógłby być „śpiulkołot”. Po trzydziestce ludzie zaczynają doceniać wpływ drzemek na piękne i spokojne życie i taki „śpiulkołot” mógłby być ważnym słowem. Zresztą z Dominikiem Więckiem, z którym od jakiegoś czasu tworzę rolki, zrobiliśmy kiedyś plebiscyt na Słowo Roku Osób Dziadziejących i tam „drzemka” miała bardzo dużo głosów, podobnie jak „Voltaren”, czyli środek na ból. A symbolem epoki mogłoby być słowo „jedność”, bo wiele razy pokazaliśmy, jak pięknie potrafimy się jednoczyć, i uodrodniliśmy, że możemy współpracować i się wpierać mimo dzielących nas poglądów, przekonań.

Ma Pani swoją wymarzoną małą poprawkę do reformy, jedną rzecz, którą dopisałyby pani do zasad? Szczerze powiedziawszy, miałam tylko dwie prośby i obie zostały uwzględnione, więc jestem w pełni usatysfakcjonowana. Bardzo się cieszę, że Rada Języka Polskiego wprowadziła różne opcje, że prawidłowo jest „i tak, i tak”. To bardzo dobry kierunek. I on wcale nie powoduje, że dyktanda będą nagle bardzo łatwe. Owszem, troszkę będą łatwiejsze

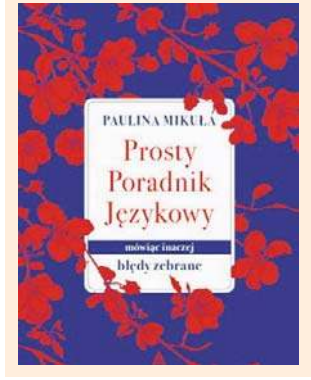
w przypadku słów typu „pif paf”, „trzask prask”, które będzie można zapisać na aż trzy sposoby, ale to nie jest tak, że w związku z tym, co Rada Języka Polskiego wprowadziła, ortografia została w pełni uproszczona i zasady przestają mieć jakiegokolwiek znaczenie. Jedyne, co mnie martwi, ale wydaje mi się, że to nigdy nie zostanie uwzględnione, to fakt, że bardzo dużo osób zapisuje „ożeż ty” przez „sz” na końcu. A tam są dwa „ż”, bo tam są dwie partykuły, jak w „niechżeż ktoś pomoże temu dziecku” – tam też są dwie partykuły „ż”, które wzmacniają przekaz. Obawiałam się, że ta reforma dopuści zapis przez „sz”.

To byłoby bez sensu. To prawda! Zmiany ortograficzne nie mogą powodować, że rozsypuje nam się system językowy. Język to system, on musi mieć stabilną konstrukcję. W przypadku „ożeż” ten system moim zdaniem zostałby naruszony, bo zniknęłaby nam partykuła, która czemuś służy. W wymowie ona się ubezdziwicznia, ale w zapisie musi być ta wzmacniająca partykuła, bo tu chodzi o wzmocnienie, a nie o „szumienie”. Dlatego uważam, że do tej zmiany nigdy nie dojdzie. To byłby ten o jeden krok za daleko. Mam nadzieję, że za naszego życia to się nie wydarzy. A potem? Niech się dzieje wola nieba.

CV



Paulina Mikula
Absolwentka polonistyki na Uniwersytecie Warszawskim, autorka popularnego vloga na YouTube „Mówiąc Inaczej”. Autorka kilku książek o poprawności językowej. Ostatnio nakładem wydawnictwa Altenberg ukazał się „Prosty Poradnik Językowy. Mówiąc inaczej. Błędy zebrane”.



W okresie jesienno-zimowym wielu z nas na hurra postanawia zbudować odporność. Łatwiej iść na skróty, więc od listopada rzucamy się na suplementy i rozmaite superfoods (superżywność) z wiarą, że szybko zbudujemy tarczę ochronną przed grypmi, przeziębieniami, wirusami.

Trzeźwiące nasze zapędy głosy lekarzy i dietetyków, przypominających, że zdrowie to kwestia codziennych wyborów i nawyków, tradycyjnie puszczamy mimo uszu. Kto się z tego cieszy? Cała branża sprzedająca suplementy oraz marketingowo wypromowane superfoods. O tej porze roku ma prawdziwe żniwa...

Suplementy i mity o superżywności

- To jest naprawdę ogromny biznes, bo Polacy są lekomanami i suplementomanami - mówił niedawno PAP dr Jerzy Kosikowski z Naczelnej Izby Lekarskiej.

Słowa te padły w kontekście pseudomedycznej działalności, którą w Polsce prowadzi od kilku do kilkunastu tysięcy osób lub podmiotów, i związanej z tym potrzeby ustanowienia tzw. lex szarlatan. Znajdują odzwierciedlenie w danych, które od lat pokazują zamykanie rodaków do samodzielnego aplikowania sobie leków i suplementów.

Polacy na suplementy diety wydają niemal 8 mld zł rocznie. Regularnie sięga po nie aż trzy czwarte dorosłych. Tymczasem, zdaniem ekspertów, nie tylko nadmiar leków jest szkodliwy, ale i nadmiar suplementów, zwłaszcza tych niepotrzebnych i przyjmowanych w niekontrolowany sposób.

Z analizy rynku wynika, że 40 proc. Polaków przyjmuje suplementy diety codziennie, a 35 proc. stosuje równocześnie kilka rodzajów. To oznacza, że po takie środki regularnie sięga aż trzy czwarte dorosłych rodaków. Wielu bez żadnych konsultacji z lekarzem czy farmaceutą; bez wiedzy o ich skutkach ubocznych, granicy przedawkowania, możliwych interakcjach.

Na potęgę łykamy także mity o zagranicznych superfoods. Jagody camu-camu, michechunka peruwiańska, acerola, maca peruwiańska, baobab, spirulina, chlorella - takie egzotyczne i drogie produkty wydają się wielu Polakom sekretami zdrowia. Pół biedy, jeśli majątek wydajemy na takie cuda dobrego pochodzenia. Nierzadko jednak dajemy się nabrać...

Tu warto wyjaśnić, że termin superfoods to hasło wypromowane marketingowo. Generalnie dotyczy produktów o tzw. wysokiej gęstości odżywczej, bogatych w witaminy, antyoksydanty, minerały. I cho-



Przy swoim stoisku Filip Malinowski, założyciel Fundacji Zdrowego Życia w Toruniu, organizator Wolnego Jarmarku Toruńskiego, warsztatów zielarskich, szef „Chwast Prast Vegetarian Bistro”

NA POTĘGĘ ŁYKAMY SUPLEMENTY I MITY O SUPERŻYWNOCI

Polacy są lekomanami i suplementomanami, a do tego chętnie łykają mity o superfoods; im bardziej egzotyczne, tym „lepsze”. A tymczasem pod ręką mamy to, co zdrowe, lokalne i dużo tańsze

Małgorzata Oberlan

ciaż toplista superfoods zmienia się wraz z trendami, łączy je wspólny mianownik: wysokie stężenie składników odżywczych i przypisywane im korzyści zdrowotne, często większe, niż wynikałoby to z samego składu.

Taka kombinacja naukowych badań, chwytliwego marketingu i błyskawicznego rozprzestrzeniania informacji sprawia, że co chwila modny staje się nowy „cudowny” produkt. A my lubimy wierzyć, że np. łykając przez dwa tygodnie codziennie jagody camu-camu rodem z Brazylii, reklamowane jako owoce z cudownie wysokim stężeniem witaminy C, budujemy odporność na zimę...

Na pochwałę buraka i miodu, czyli zdrowie mamy pod ręką

A tymczasem nać zielonej pietruszki, czarna porzeczka, papryka czy dzika róża, czyli nasze polskie produkty, to identyczne bomby witaminy C,

co promowane superfoods zza oceanów. Kiszona kapusta czy ogórki, z dobrego źródła, więcej dobrego uczynią nam swoimi probiotycznymi właściwościami niż modne teraz koreańskie kimchi zamknięte w słoiku z terminem ważności na sto lat.

Jak budować odporność z tego, co lokalne, zdrowe i niedrogie? Filip Malinowski, założyciel Fundacji Zdrowego Życia w Toruniu, organizator Wolnego Jarmarku Toruńskiego, szef swojego „Chwast Prast Vegetarian Bistro” i chodząca wegeencyklopedia, ma kilka typów na jesień i przedzim

- Po pierwsze miody, np. takie jak oferowane na toruńskim Wolnym Jarmarku przez gospodarstwo „Paseki Miody Jakubowe”. Ten wystawca ma 400 uli, a miody zróżnicowane. Zna ich właściwości jak mało kto, a zawsze służy radą. W ofercie ma też znany od XII w. zbiteń, czyli wschodniosłowiański napój na bazie gotowanego miodu, wody i przypraw

korzennych. Ceniony jest od wieków za swoje właściwości rozgrzewające, wspomagające walkę z przeziębieniem i gripą. Profilaktycznie natomiast - kiedy jesteśmy zdrowi - zaleca się spożywanie miodu surowego, nieprzegrzewanego - mówi Filip Malinowski.

Wybitnie odporność w listopadzie podnieść nam mogą także zakwasy. Organizator jarmarku na swoim stoisku w ofercie ma zakwasy z chili oraz buraczany. Pierwszy łączy w sobie rozgrzewające i obniżające cholesterol cenne właściwości kapsaicyny z probiotycznym działaniem żywego, niepasteryzowanego napoju.

- Zakwas z buraków natomiast ceniony jest za poprawianie parametrów krwi (żelazo). Nasz jest żywy, niepasteryzowany, a zatem ma pełną gamę właściwości - podkreśla Malinowski.

Oczywiście, kiszonki, miody, zbiteń, zakwas z buraków i inne lokalne produkty budu-



Kiszona kapusta czy ogórki więcej dobra uczynią nam swoimi probiotycznymi właściwościami niż modne koreańskie kimchi w słoiku, z terminem ważności na sto lat

jącą naszą odporność najlepiej włączyć na stałe do diety. Koniecznie też zwracać trzeba uwagę na to, kto i jak produkt wytworzył. - Wspomniany choćby zakwas buraczany, sprzedawany w niektórych sklepach, jest pasteryzowany. To pozbawia go części cennych wartości odżywczych i warto mieć tego świadomość. Generalnie źródło pochodzenia każdej żywności po prostu jest ważne - podkreśla Malinowski.

Gdzie szukać tego dobra?

Zorientowani odwiedzają na targowiskach ulubionych dostawców i tam zaopatrują się w warzywa, owoce, miody, przyprawy. Dobrym miejscem są też stragany czy (już na wy- marciu, ale istniejące) tradycyjne sklepy, tzw. warzywniaki.

W Toruniu lokalnych wystawców i klientów przyciąga m.in. istniejący od dekady Wolny Jarmark Toruński. Odbywa się przez okrągły rok, także zimą, co dwa tygodnie. Zawsze w niedzielę, na Rynku Nowomiejskim, w godz. 10.00 - 15.00. Najbliższy - 7.12.

W Bydgoszczy bardzo popularny jest Frymark. To targ regionalnych produktów eko i rękodzieła, zaprasza w każdą niedzielę. Smaczne i zdrowe handlowanie odbywa się przy ul. Gdańskiej na tyłach „Rywala”.

We Włocławku natomiast mnóstwo zdrowia i smaku oferuje BioJarmark. Ten ekotarg rolny swoją najbliższą edycję będzie miał 30.11. „Łączymy naszych lokalnych producentów i zachęcamy do kupowania od sąsiada! Oferujemy swoje produkty pochodzące z własnych gospodarstw i manufaktur” - podkreślają organizatorzy. I zapraszają na Stary Rynek.

A kto woli zakupy przez internet, temu z czystym sumieniem polecić można Naszelo-kalne.pl. To miejsce, gdzie można kupić produkty prosto

od rolników i wytwórców z woj. kujawsko-pomorskiego. Zarówno warzywa i owoce, jak i sery, przetwory czy wędliny są produkowane od początku do końca z surowców pochodzących z ich hodowli, upraw lub zaprzyjaźnionych gospodarstw. Dostawy od rolników realizowane są dla mieszkańców co 2 tygodnie. Całość działań pod skrzydłami spółki z udziałem marszałka województwa - Regionalnego Ośrodka Zrównoważonego Rozwoju w Przysieku. ©

WARTO WIEDZIEĆ

Jesteśmy zapatrzeni w celebrytów. A oni na tym zarabiają

Dużą rolę w promowaniu suplementów diety odgrywają celebryci i influencerzy. O tym, że tylko dzięki diecie i suplementacji zaleczyła Hashimoto (przewlekłą chorobę autoimmunologiczną) przekonywała w maju br. swoich fanów Doda. Główny Inspektor Farmaceutyczny zdecydował się wówczas złożyć zawiadomienie do prokuratury o możliwości popełnienia przestępstwa.

- Ta kula śniegowa toczy się od dawna, bo suplementy są sprzedawane przez celebrytki od lat, a teraz się po prostu okazało, że to jest naprawdę ogromny biznes - komentował dr Jerzy Kosikowski z Naczelnej Izby Lekarskiej (dla: PAP). Akcja wokalistki towarzyszyła promowaniu przez nią jej autorskiej serii suplementów.

Oczywiście to tylko przykład - podobnie sprzedają „zdrowie” także inni celebryci.

FOTOkomentarz tygodnia



23 LISTOPADA,
SZWAJCARIA

Dyplomacja niczym z filmu Hitchcocka: najpierw trzęsienie ziemi, a potem napięcie rośnie. Trzęsieniem był przeciek 28-punktowego planu pokojowego dla Ukrainy. Wiele z jego punktów budziło poważne obawy. Zanim one zostały przedyskutowane, na spotkaniu w Genewie, w którym wzięli udział m.in. sekretarz stanu Marco Rubio (po prawej) i Andriy Jeremak (szef gabinetu prezydenta Ukrainy), plan gruntownie przebudowano. Ale - w przeciwieństwie do filmów - tym razem napięcie nie skończyło się happy endem. Wygląda na to, że ta misja dyplomatyczna znów nie przyniesie rozstrzygnięcia

FOT. PAP/PA/MARTIAL TREZZINI

MATERIAŁ INFORMACYJNY FUNDACJI NA RZECZ PACJENTÓW

0011436233

Apteki wspierają bezpieczeństwo Polaków

15 i 22 listopada 2025 r. w Sopocie odbyły się szkolenia poświęcone reagowaniu na sytuacje kryzysowe i budowaniu lokalnej odporności. Wydarzenia, zorganizowane przez Urząd Miasta Sopot, zgromadziły mieszkańców Sopotu, ekspertów Akademii Marynarki Wojennej, przedstawicieli policji, straży pożarnej, WOPR, straży miejskiej, MOPS, grup ratowniczych oraz - co szczególnie istotne - farmaceutów.

Podczas szkoleń uczestnicy poznali zasady przygotowania do powodzi, pożarów, awarii prądu, wichur i innych nagłych zdarzeń. Omawiano procedury ewakuacji, podstawy pierwszej pomocy, komunikację kryzysową oraz sposoby radzenia sobie ze stresem. „Chcemy, by każdy sopocianin wiedział, gdzie szukać pomocy i informacji w kryzysie” – podkreśliła prezydentka Sopotu Magdalena Czarzyńska-Jachim. To właśnie udział farmaceutów w wydarzeniach dotyczących bezpieczeństwa publicznego pozwala zauważyć coś, co w polskiej rzeczywistości jest obecne od dawna, lecz rzadko bywa nazywane

wprost: apteki i ich pracownicy stają się jednym z najsilniejszych ogniw lokalnego systemu bezpieczeństwa. Właśnie dlatego Fundacja na Rzecz Pacjentów oraz Gemini angażują się w projekty, które nie tylko wzmacniają ochronę zdrowia, lecz także budują odporność społeczną. Sopockie szkolenia wpisują się w szerszy trend dostrzegania, że bezpieczeństwo nie dotyczy wyłącznie działania służb mundurowych, ale także tych, którzy na co dzień stoją najbliżej ludzi.

To ważne, bo kryzysy zarówno te naturalne, jak i wynikające z awarii infrastruktury czy sytuacji zdrowotnych - przestają być abstrakcyjnym scenariuszem przyszłości. W obliczu takich zdarzeń ludzie szukają miejsc, w których mogą szybko uzyskać wsparcie, rzetelne informacje i poczucie kontroli. Jednym z pierwszych wyborów staje się apteka. Prezes Fundacji na Rzecz Pacjentów, dr n. farm. Łukasz Fijałkowski, podkreśla, że farmaceuci mają kompetencje dalece wykraczające jedynie poza wydawanie leków. „Farmaceuci są jedynym z najbardziej dostępnych pracowników ochrony zdro-



wia i bardzo często to właśnie do apteki jako pierwszej trafiają pacjenci, kiedy dzieje się coś niepokojącego. Jesteśmy po to, by uspokajać, edukować i pomagać ocenić, czy sytuacja wymaga pilnej interwencji. Nasza wiedza obejmuje również medycynę katastrof, więc naturalnie stajemy się częścią lokalnych planów reagowania kryzysowego” - zaznacza Fijałkowski. Podobne spojrzenie prezentuje Aleksandra Murawska z Gemini, która zwraca uwagę na odpowiedzialność, jaką apteki biorą na siebie w kontekście bezpieczeństwa społecznego. „Apteka jest miejscem,

do którego ludzie przychodzą po pomoc, informacje i spokój. Dlatego wspieramy inicjatywy edukacyjne i lokalne działania, które zwiększają odporność społeczną. Chcemy, by każdy pacjent wiedział, że może liczyć na farmaceutę w każdej sytuacji, również tej kryzysowej” - podkreśla Murawska. Jej zdaniem bezpieczeństwo nie jest jednorazową interwencją, lecz procesem, w którym liczy się ciągła obecność i zaufanie zbudowane między farmaceutą a pacjentem. Ostatnie lata pokazały, jak ważną rolę pełnią apteki w sytuacjach kryzysowych.

W czasie pandemii pozostały otwarte, zapewniając wsparcie, kontynuację terapii i pomoc w zrozumieniu zmieniających się zasad. Podobnie podczas lokalnych podtopień czy przerw w dostawach prądu – farmaceuci potrafili działać w trybie awaryjnym, wspierając najbardziej potrzebujących.

Zaangażowanie Fundacji na Rzecz Pacjentów oraz Gemini obejmuje o wiele więcej niż tylko działania interwencyjne. Organizacje te prowadzą także szeroko zakrojone projekty edukacyjne, dotyczące bezpieczeństwa seniorów, profilaktyki zdrowotnej, odpowiedzialnego stosowania leków, a także ochrony przed dezinformacją.

Łukasz Fijałkowski zwraca uwagę, że bezpieczeństwo nie jest wyłącznie domeną służb ratunkowych. To złożony system, w którym apteki zajmują realne i bardzo ważne miejsce. „Bezpieczeństwo zaczyna się dużo wcześniej niż w momencie katastrofy. Zaczyna się w edukacji, w profilaktyce, w codziennej obecności farmaceutów, którzy znają swoich pacjentów i rozumieją ich potrzeby. Apteka to nie tylko punkt

sprzedaży leków, to miejsce, w którym budujemy lokalną odporność” - podkreśla Fijałkowski. Z kolei Aleksandra Murawska dodaje, że nowoczesna apteka powinna być postrzegana jako pełnoprawny element systemu bezpieczeństwa zdrowotnego. „Chcemy, by farmaceuci byli postrzegani jako nieodłączna część systemu ochrony zdrowia. Dlatego tak aktywnie wspieramy projekty społeczne i edukacyjne. Apteki, dzięki swojej dostępności i kompetencjom personelu, stają się jednym z najbardziej naturalnych punktów pierwszego wsparcia. W świecie, który zmienia się szybciej niż kiedykolwiek wcześniej, ich obecność okazuje się kluczowa. Dlatego tak istotne jest, aby liczba aptek w Polsce rosła w sposób odpowiadający potrzebom mieszkańców i realiom zagrożeń” - mówi.

Kryzysy nie znikną, ale mogą stać się mniej dotkliwe, jeśli społeczność jest świadoma, przygotowana i wie, gdzie szukać pomocy. Apteka, wspierana przez organizacje, takie jak Fundacja na Rzecz Pacjentów i firmy, takie jak Gemini, jest właśnie takim miejscem.

Co to jest „wystarczalizm”?

To działanie, które przywraca poczucie wpływu. A to bardzo ważne w świecie, w którym z każdej strony jesteśmy zasypany nadmiarem. Jeśli nie postawimy granic, prędzej czy później pocujemy przesyt. Każdy to zna: w sklepie, gdy ktoś proponuje większą kawę czy kolejny gratis. Jeśli mamy swoje „wystarczy”, podejmujemy decyzję sami, a nie pozwalamy, by marketing robił to za nas. Każdy ma swoją indywidualną granicę, moment, w którym czuję: mam dość, mam akurat. Wystarczalizm to przyjazna, elastyczna idea, która pozwala ustalić własne zasady: żeby było nie za dużo, ale też nie za mało. To rozsądne podejście do posiadania rzeczy i do odróżniania tego, co naprawdę jest dla nas ważne, od tego, co tylko przeszkadza żyć prościej i szczęśliwiej.

Jaka jest różnica między pozbywaniem się rzeczy w duchu minimalizmu, a świadomym wybieraniem tego, co jest wystarczające?

Minimalizm w pewnym momencie trochę wymknął się spod kontroli i zaczął przypominać zawody w tym, kto ma mniej. Dla wielu osób – szczególnie mających rodzinę – takie podejście jest po prostu nierealne. W wystarczalizmie nie chodzi o liczbę rzeczy, lecz o ich rolę. Najważniejsze jest to, czy naprawdę ich używamy i czy pełnią funkcję, dla której je mamy, a nie tylko stoją i zajmują przestrzeń.

Jaki moment sprawił, że pomyślała pani: wystarczy?

Dziesięć lat temu trafiłam na książkę Marie Kondo „Magia sprzątanía”. To był dla mnie impuls, by nazwać coś, co od dawna czułam, że wokół mnie jest za dużo przedmiotów, choćby niechcianych prezentów, z którymi nie wiadomo, co zrobić. Zrobiłam porządku w szafie i zaczęłam pozbywać się rzeczy. I wtedy poczułam ogromną wolność. Zrozumiałam, że już nie muszę kurczowo trzymać się wszystkiego. Byłam bardzo sentymentalna, przywiązywałam się do przedmiotów. Dopiero ta zmiana podejścia pokazała mi, że nie o rzeczy tutaj chodzi, bo i tak ich ze sobą nigdzie nie zabiorę. Poza tym te najważniejsze elementy naszego życia wcale nie są materialne. W codziennym biegu trudno to zauważyć, ale w momentach kryzysowych widać to wyraźnie. Życie staje się pełniejsze, kiedy myślimy o tym częściej, nie tylko wtedy, gdy coś się wydarzy.

Jak wygląda praktykowanie wystarczalizmu w pani życiu?

Na zakupach bardzo uważnie zastanawiam się, czy dana

W ŚWIECIE, KTÓRY CIĄGŁE CHCE OD NAS WIĘCEJ, UCZMY SIĘ MÓWIĆ: WYSTARCZY

Żyjemy w kulturze nadmiaru rzeczy, zadań, bodźców i oczekiwań, a jednak rzadko zastanawiamy się, jak wpływa to na nasze samopoczucie. Emily Rand-Przykaza, autorka książki „Wystarczalizm. Jak uporządkować mieszkanie, głowę i ducha”, przekonuje, że warto zaprosić umiar do naszych czterech kątów, naszego wnętrza i codziennych obowiązków.

Jolanta Tęcza-Ćwierz



Emily Rand-Przykaza: Wystarczalizm polega na tym, by odnaleźć własny głos i własne, prawdziwe potrzeby

czy z podłogi. Jest takie pojęcie: „cicha lista rzeczy do zrobienia”. Rzeczy jakby do nas mówią: „posegreguj mnie”, „odłóż mnie”, „uporządkuj mnie”. Za każdym razem, gdy je widzimy, pojawia się myśl: powinnam to zrobić. I jeśli te drobne sygnały kumulują się dzień po dniu, zaczyna to ge-

nerować stres. A ponieważ w życiu jest mnóstwo rzeczy, których nie możemy kontrolować, myślę, że warto zadbać o te, na które mamy wpływ.

Słowem - uporządkowane otoczenie sprzyja uporządkowanemu myśleniu. Która część domu najczęściej zdradza,

dza, co dzieje się w naszej głowie?

Myślę, że kuchnia. Jeśli dzień w dzień wygląda inaczej, niż byśmy chcieli, to często jest to sygnał jakiegoś wewnętrznego nieuporządkowania. Może jesteśmy przeciążeni obowiązkami? Wtedy dobrze jest się zastanowić, z czego można zrezygnować. A może zbyt dużo czasu ucieka nam w telefonie? Scrollowanie potrafi pochłonąć ogromny kawałek dnia. Wystarczy odłożyć telefon na godzinę i nagle okazuje się, że czas na sprzątnię się znajduje. Mam wrażenie, że przeceniamy to, ile sprzątanie naprawdę trwa. Zachęcam do włączenia stopera na pięć minut i sprawdzenia, ile można zrobić w tym czasie. Bardzo ważna jest też liczba posiadanych rzeczy. Jeśli mamy ich „bardzo, bardzo dużo”, to nawet uporządkowana kuchnia dalej wygląda jak zabałaganiona, bo ciągle tylko przekładamy przedmioty z miejsca na miejsce.

A może bałagan jest sygnałem, że w nas samych coś domaga się uważności?

Myślę, że te dwie rzeczy są ze sobą nierozdzielnie związane. Owszem, ktoś może przyjść i posprzątać nasz dom i przestrzeń będzie wyglądała idealnie, ale tylko do momentu, w którym wrócimy do starych nawyków. Jeśli nie zmienimy myślenia, bardzo szybko znajdziemy się dokładnie w tym samym miejscu. Porządkowanie bez refleksji działa jedynie na chwilę.

Jak zacząć tworzyć dom, który jest wsparciem, a nie kolejnym źródłem bodźców?

Najprościej zacząć małymi krokami – choćby od szuflady, w której od dawna odkładamy „różne rzeczy”. Wiele osób mówi, że nie ma czasu na duże porządki, dlatego warto zacząć od czegoś, co można zrobić szybko i co od razu da poczucie ulgi oraz sprawczości. Dobrym pomysłem jest też przejście po domu i wyrzucenie tego, co ewidentnie jest do wyrzucenia. To często drobiazgi, ale one również potrafią generować stres. Warto pamiętać, że to proces, a nie zawody. Wystarczalizm wdraża się dzień po dniu, aż staje się czymś naturalnym.

Jak zacząć praktykować „wystarczy”, kiedy mamy wrażenie, że naszym zadaniem jest wszystko?

Od ustalenia priorytetów. Warto zapytać: co naprawdę musi być zrobione teraz, a co może poczekać? Co w ogóle nie jest moim obowiązkiem? Żyjemy w czasach, w których wypada być zajęтым. W dobru tonie jest powiedzieć: „nie mam czasu, nie wyrażam”. Gdyby ktoś powie-

dział, że ma na wszystko czas, brzmiałoby to podejrzenie. Do tego dochodzi presja wielozadaniowości. Wymaga się od nas efektywności, często rozumianej jako ilość wykonanych zadań, a nie ich jakość. A ja myślę, że warto robić mniej, ale lepiej. Pomaga też spisanie listy obowiązków. Nie po to, by być jej niewolnikiem, tylko by uporządkować chaos w głowie. Kiedy wydaje nam się, że jest „tyle do zrobienia”, często okazuje się, że połowa rzeczy nie wymaga żadnego działania teraz.

Co powiedziała pani komuś, kto ma ogromny problem z odpuszczeniem, bo boi się, że „za mało” oznacza „za słabo” albo „nie dość dobrze”?

Zachęcałabym, by zadał sobie pytanie, skąd bierze się ten lęk. Co stoi za przekonaniem, że trzeba robić wszystko i zawsze na sto procent? To bardzo ciężkie oczekiwanie i nikt nie jest w stanie mu sprostać. Jeśli sami nie zdejmujemy z siebie tego ciężaru, nikt inny tego za nas nie zrobi. Każdy z nas jest wystarczający już przez samo to, że jest. Czasem zapominamy o wartości zwykłego życia i zwykłego bycia człowiekiem. Kultura podpowiada nam, że samo „być” nie wystarczy, że trzeba jeszcze osiągnąć sukces, coś udowodnić. A przecież życie składa się głównie z szarej codzienności, i to ona ma największą wagę. Czekanie tylko na spektakularne momenty może sprawić, że nie docenimy tego, co dzieje się pomiędzy, a to właśnie tam często kryje się szczęście.

Pisze pani także o umiarze w cyfrowej rzeczywistości i w jedzeniu. Dlaczego te obszary również wymagają uważności?

Jeśli zaczynamy praktykować wystarczalizm w przedmiotach, naturalnie pojawia się potrzeba upraszczania innych sfer życia. Jedzenie jest tego świetnym przykładem. Z jednej strony mamy kult diet i zdrowego żywienia, z drugiej – epidemię otyłości. Świat oszalał na punkcie jedzenia, ale niewiele osób myśli o nim w wymiarze duchowym czy emocjonalnym. Praktyki takie jak post czy wstrzemięźliwość trochę odeszły do lamusa.

Gdyby miała pani sprowadzić „wystarczalizm” do jednego zdania, jak by ono brzmiało?

Proste życie to świadome życie. Świadomość jest absolutnie kluczowa. Wystarczalizm polega na tym, by odnaleźć własny głos i własne, prawdziwe potrzeby, a nie te narzucone z zewnątrz. Chciałabym, żeby każdy na chwilę się zatrzymał, zastanowił nad swoimi priorytetami i sprawdził, czy codzienne działania faktycznie im służą.

„40 lat za sterami Mlekovity” — jubileusz i artystyczne uznanie dla Dariusza Sapińskiego

Rok 2025 przyniósł wyjątkowy jubileusz w historii Grupy Mlekovita. Dokładnie 40 lat temu Dariusz Sapiński objął stery firmy, która dziś dzięki jego przewodnictwu stała się potężnym graczem mleczarskim o globalnym zasięgu. Z tej okazji został on uhonorowany podczas 22. Gali Złotej Setki Podlaskiego plakatem autorstwa Tomasza Bocheńskiego zatytułowanym „40 lat za sterami Mlekovity” – symboliczny hołd dla jego drogi i dokonań.

Prezes, który nadał kurs – cztery dekady przywództwa

W historii polskiego mleczarstwa niewiele jest postaci, które odegrały równie znaczącą rolę. Gdy Dariusz Sapiński obejmował stanowisko prezesa, Mlekovita była lokalną spółdzielnią. Dziś — po czterech dekadach na pokładzie — to **nowoczesny koncern obecny na rynkach całego świata**.

– „Przez 40 lat starałem się prowadzić firmę tak, jak prowadzi się statek: z szacunkiem do tradycji, ale z odwagą w kierunku nowych horyzontów” – mówi prezes.

Jego filozofia zarządzania opiera się na pięciu filarach: **marka, inwestycje, jakość, innowacje i zrównoważony rozwój**. To one stworzyły fundament, na którym zbudowano pozycję lidera branży.

Innowacje, które zmieniły rynek

Jubileusz to nie moment stagnacji, lecz okazja do podkreślenia najnowszych osiągnięć firmy. Pod kierunkiem prezesa Sapińskiego Mlekovita konsekwentnie inwestuje w nowoczesne rozwiązania technologiczne. W listopadzie 2025 r. firma uruchomiła **pierwszy w branży mleczarskiej automatyczny magazyn gęstego składowania** – inwestycja, która rewolucjonizuje logistykę i podnosi efektywność dystrybucji.

Również w obszarze produkcji Mlekovita stawia na zrównoważony rozwój. Kluczowym przykładem jest **Fabryka Biofermentacji**, w której zintegrowano oczyszczalnię ścieków z in-



Prezes Dariusz Sapiński podczas Gali Złotej Setki Podlaskiego

stalacją fermentacji metanowej. W ciągu roku wyprodukowano aż 4,25 miliona Nm³ biogazu, co pozwoliło zaoszczędzić ponad 7,84 mln zł i pokryć 30 % zapotrzebowania energetycznego zakładu.

– „Zrównoważony rozwój to nie trend, to obowiązek. Tak rozumiem rolę lidera” – podkreśla prezes.

Nagrody i uznanie

Pod wodzą prezesa Sapińskiego Mlekovita zdobywa kolejne branżowe laury,

potwierdzające jej pozycję lidera. W 2025 r. prezes otrzymał m.in. nagrodę **Top Exportera** na Kongresie Nowoczesnej Dystrybucji, a firma znalazła się na czele rankingu 200 największych polskich firm „Wprost”.

Równie spektakularny jest sukces na **Liście 500 „Rzeczpospolitej”**, gdzie Mlekovita zajęła 62. Miejsce, będąc najwyższą notowaną firmą mleczarską w zestawieniu. Dodatkowo Grupa zdobyła aż trzy nagrody podczas gali „Złota 100 Polskiego Rolnic-

stwa 2025”, m.in. za jakość, sprzedaż i innowacje.

Sukces innowacyjny to także linia **mleka A2A2**, czyli mleka zawierającego jedynie beta-kazeinę A2, które zostały wyróżnione statuetką „Złota Innowacja FMCG 2025”. Innowacyjne opakowania Mlekovity również przyniosły firmie nagrodę – **Złoty Laur** w konkursie ReThink Packaging 2025 za działania proekologiczne.

Nie mniej istotne jest uznanie ze strony konsumentów – marka Mlekovity

znalazła się w czołówce **Brand Footprint Award 2025**, a mleko „Polskie 2 %” zostało nagrodzone „Złotym Paragonem” jako lider sprzedaży.

Zaangażowanie i odpowiedzialność społeczna

Prezes Sapiński nie ogranicza swojej działalności do zarządzania strukturami biznesowymi – aktywnie angażuje się w dialog społeczny. We wrześniu 2025 r. u siebie w centrali przyjął

Komisję Rolnictwa i Rozwoju Wsi, apelując o ochronę polskiego mleczarstwa przed nadmiernym importem.

Firma pod jego skrzydłami realizuje też działania edukacyjne i prozdrowotne. W kwietniu 2025 r. w ramach Światowego Dnia Zdrowia Mlekovita zorganizowała trening dla młodzieży, promując białko i zdrowy styl życia. Równolegle, podczas Dnia Ziemi, pracownicy i społeczność lokalna wzięli udział w akcji sprzątania lasów – symboliczny gest w duchu ekologicznym.

Nowy rozdział za horyzontem

Cztery dekady kierowania Mlekovitą to imponujący staż, ale również lekcja odpowiedzialności i wizjonerstwa. Dzięki prezesowi Sapińskiemu, spółdzielnia mleczarska przekształciła się w globalnego gracza, nie rezygnując z wartości lokalnych i spółdzielczych. Jego decyzje – często długofalowe – okazały się trafne: firma inwestuje w zrównoważoną energetykę, automatyzację, eko-innowacje i produkty funkcjonalne.

Jubileusz 40-lecia nie zamyka żadnego etapu – wręcz przeciwnie. Dla Mlekovity i jej prezesa to moment wyznaczający nowy kierunek.

– „Statek płynie dalej. Mamy przed sobą wiele wyzwań, ale też ogromne możliwości. Po 40 latach wiem jedno: dobre sterowanie zaczyna się od odpowiedzialności” – podkreśla Sapiński.

„40 lat za sterami Mlekovity” to nie tylko tytuł wyróżnienia. To historia, która wciąż się pisze.

Arlena Sokalska

ZDRADZIECKA MISJA
DYPLOMATOŁKÓW

Im więcej wiemy o tzw. pokojowym planie Trumpa dla Rosji i Ukrainy, tym bardziej chce się zakrzyknąć za Robertem Lewandowskim: „Le cabaret” – jak nasz najlepszy piłkarz skomentował kiedyś wyniki plebiscytu „France Football”. A z drugiej strony na myśl przychodzi określenie „dyplomatołki”, ukute niegdyś przez Władysława Bartoszewskiego.

Gdyby sekretarz stanu USA Marco Rubio znał to słowo, z pewnością użyłby go na określenie dwóch amerykańskich „mistrzów” dyplomacji: Steve’a Witkoffa oraz Jareda Kushnera, zięcia Donalda Trumpa, którzy otrzymali od przedstawiciela Kremla Kiryła Dmitriewa 28 punktów spisanych po rosyjsku, dość nieudolnie przetłumaczyli na amerykański angielski i zaprezentowali swojemu szefowi jako „genialny plan pokojowy”. Trump ponoć nawet planu nie przeczytał, bo był zajęty grą w golfa. Ale też nie posłuchał Witkoffa, który miał go namawiać na zdjęcie sankcji z Łukoila i Rosnieftu, a to było głównym celem Dmitriewa – z tą misją od Putina dyktował ów plan swoim amerykańskim kolegom.

Ponadto Witkoff beztrząsco rozmawiał z doradcą Putina Jurijem Uszakowem, mastodontem rosyjskiej polityki zagranicznej, i tłumaczył mu, jak rozmawiać z Trumpem, by zyskać jego przychylność. Cóż, nic nowego pod słońcem – już cały wie świat, że należy obchodzić się z nim jak z niegrzecznym dzieckiem, które lepiej obłaskawiać, bo inaczej grozi nam karczemna awantura, tupanie nogami i wymachiwanie rękoma, a przy okazji uciepieć może jeszcze zastawa stołowa.

Tę lekcję – po słynnej awanturze w Gabinetie Owalnym – doskonale pojęli Ukraińcy. Po tym jak ujawniono owych napisanych cyrylicą 28 punktów, zachowali kamienną twarz i zapewnili, że są wdzięczni Trumpowi za inicjatywę (warunek konieczny!) i należy tylko jeszcze tylko ów plan dopracować. I tu pojawił się Marco Rubio, który doskonale wiedział, że ten plan to absolutny wstyd dla Ameryki, ale również robił dobrą minę do złej gry i popracował ze stroną ukraińską w Genewie nad zmianą zapisów. Przy czym, jak donosili dziennikarze obsługujący ten szczyt, bardzo uważał, by nie zostać dopisanym do grona „dyplomatołków”, ale też i nie za bardzo krytykował kolegów, by z kolei nie narazić się na gniew Trumpa (bo też przy okazji tego całego zamieszania stało się jasne, że w amerykańskiej administracji toczy się walka buldogów pod dywanem na linii Rubio – J. D. Vance, związana z ewentualnym namaszczeniem na następcę Trumpa).

Z kolei przywódcy europejscy bardzo uważali na to, by w żaden sposób nie zmienić narracji, że cały czas omawiany jest „pokojowy plan Trumpa”, bo gdyby z nazwy wypadło nazwisko, prezydent USA mógłby natychmiast się z niego wycofać.

I tak mamy plan liczący 19 punktów, a nie 28, i dalsze rozmowy. Rozmowy, które nigdzie nas nie zaprowadzą. Przede wszystkim dlatego, że wojnę w Ukrainie można zakończyć tylko na Kremlu, a Putin nie biera się, by to uczynić. Nie ma pewności, czy Rosja byłaby gotowa podpisać nawet pierwotną wersję planu, napisaną de facto na Kremlu. A z pewnością nie zrobi tego z jego nową wersją.

Wszystko dlatego, że na razie wojna jest na rękę Putinowi. Jak napisał w liście do Trumpa rosyjski (ale mieszkający w USA) reżyser i pisarz Edward Topol, Putin nie doprowadzi do zakończenia wojny w Ukrainie nie dlatego, że nie chce, ale dlatego, że nie może. A nie może dlatego, że koniec wojny mógłby oznaczać koniec reżimu Putina, jak wojna w Afganistanie była początkiem końca ZSRR.

Dlatego mamy cały ten dyplomatyczny „Le cabaret”, a końca wojny nie będzie.

Adam Bula

MODLITWA O NOWY CUD
WIGILIJNY

Ogłupiały jazgot, jako forma ekspresji, która całkowicie zdominowała naszą przestrzeń publiczną, wywała właśnie skalę. Dziś mogę wytrzymać kilka minut śledzenia, np. w socjalach, wpisów polityków tylko dlatego, że ten wulgarny potok litościwie przetykany jest fotkami kotków i piesków, zbiorów na ich ratowanie i radosnymi newsami, jeśli się to udaje.

I to może być zarys strategii przetrwania. Rozumiecie: na czasie są teraz informacje, co robić w sytuacji zagrożenia i co spakować w plecaku ewakuacyjnym. A nie ma szkoleń, jak przetrwać, gdy radykalna większość czynnych polityków w europejskim kraju średniej wielkości dostaje małpiego rozumu. I zalewa nas szczekaniem, jakiej nie powstydziłby się wiejski burek na widok kota sąsiada.

Programów z udziałem polityków w telewizjach od dawna nie daje się już oglądać, a właściwie słuchać, bo nic nie słyhać, gdy strony sporu upierają się mówić jednocześnie, na co nakłada się pojękiwanie prowadzących apelujących, by tak nie robić. Ich nieskuteczność jest zresztą oszałamiająca – marzę o programie z politykami, który będzie prowadził jakiś sierżant od musztry. Sensu w tym nie będzie więcej, ale przynajmniej będzie wiadomo, kto i o czym akurat bredzi.

Spokojniej jest w programach, gdzie politykę komentują publicyści, bo tutaj zbierają się ludzie, którzy się generalnie ze sobą zgadzają. Jak od święta np. w TVN24 – „Łoża prasowa” się to nazywa – znajdzie się ktoś mający nieco inne zdanie, czujnie prowadząca Małgorzata Łaszczyk puentuje wypowiedź outsidera tak długo, aż nie naprostuje do jedynej słusznej linii.

Choć tam to jest robione kulturalnie – po drugiej stronie ton nadal nadaje program o nazwie „Salon Dziennikarski”, prowadzony od lat przez braci Jacka i Michała Karnowskich. Kiedyś zarabiali na tym porządnie, bo korzystali z anteny TVP-PiS, dziś pozostała im tylko „własna” telewizja „wPol-sce”. Znakiem firmowym tego programu był fakt, że bracia zapraszali do siebie jako „publicystów” podwładnych z własnej redakcji.

W innej lidze gra „TV Republika”. To osobne uniwersum, gdzie arystotelesowska logika ma za-

kaz wstępu na stałe. „Kanał Zero” Krzysztofa Stanowskiego, wielka nadzieja na zmianę, dziś formatuje się z kolei na Republikę w wersji soft. A Polsat, jak zwykle, nie bardzo wie, co ma robić, żeby nikomu się nie narazić.

Kłopot w tym, że tego bazowego sabatu politycznych naganiaczy nie da się ominąć, bo co większe kwiatki wlewane są hurtem do social mediów.

Więc czym żyje kraj ostatnio?

Tusk do dymisji, bo w Angoli na lotnisku wysiadł w pomiętej koszuli, choć witała go warta honorowa. Za to Nawrocki na króla, bo ten miał wizytę w Czechach i ślicznie był ubrany. A Tuska wygnali do Afryki, bo nikt z ważnych europejskich polityków się z nim nie liczy. Że pojawili się oni za Tuskiem w Luandzie chwilę później, bo akurat był tam szczyt Unia Europejska – Unia Afrykańska? – a kogo obchodzą szczegóły.

A że Nawrockiemu w Pradze poszło, zdaniem gospodarzy, raczej średnio – a kto czyta po czesku? Przecież zrobił „epokowy” wykład po angielsku na Uniwersytecie Karola o tym, jak posprząta złą Unię. Samego wykładu wam nie puścimy, bo może jeszcze ktoś zna angielski i cały efekt pójdzie w ...

A jeszcze są wygnani węgierscy, którzy w nerwach wypacają coraz dłuższe odezwy, jak to wszystkich załatwia, jak tylko wrócą. No ale na razie nie wrócą, bo ten oszalały z zemsty Tusk wysłał siepaczy do samego Ojca Rydzyka i teraz każdy polityk, który się u niego latami kiwał na mszach, musi się odwinąć na Tuska w jego obronie.

A zawsze od razu na najwyższej skali, bo nasi politycy nie potrafią w stopniowanie przymiotników. Wszystko od razu jest najgorsze i katastrofalne, skutkiem czego Naród nasz katolicki kona codziennie w okrutnych konwulsjach.

A dopiero odpalamy kolejną fazę – tu akurat prym wiodą politycy Konfederacji – szczucia wprost opartego na filmikach generowanych przez AI (agresywny, półnagi murzyn na mszy w kościele). I znów, jak kiedyś przy słynnych „paskowych”, pozostaje nam gorzka zgadywanka: czy to możliwe, by oni byli tak głupi, czy robią z nas głupków na chłama.

Proponuję przemyśleć to, zagryzając czekoladkami z promowanego – w podobno porządnej już telewizji publicznej – kalendarza adwentowego z politykami PiS, którzy powinni trafić do więzienia.

I doczołgajmy się tak do świąt. I może pomódlmy się wtedy o cud: niech gadające zwierzątka zostaną z nami na dłużej, a oniemiałych polityków wstawimy do stajni. Skoro i tak robią tylko gnój...

Fala sankcji Zachodu ograniczyła zasoby Rosji, a ponieważ presja pozostaje jedynym językiem, na jaki Rosja reaguje, będziemy ją nadal zwiększać, dopóki nie pojawi się prawdziwa wola zaangażowania w pokój

AI dla każdego – praktyczne kursy, które otwierają nowe możliwości

Rynek pracy w Polsce wchodzi w erę sztucznej inteligencji – i to szybciej, niż można by się było spodziewać. Już dziś firmy wdrażają AI w swoich procesach, a z raportu Microsoft Work Trend Index 2025 wynika, że aż 84% liderów biznesowych planuje w ciągu roku wprowadzić agentów AI. Co więcej, ponad połowa pracodawców (53%) deklaruje, że nie zatrudni osoby bez umiejętności korzystania z tej technologii. Tymczasem młodzi Polacy korzystają z AI na co dzień – robi to 97% z nich, ale tylko 12% czuje się przygotowanych do pracy z jej wykorzystaniem. To pokazuje jedno: sztuczna inteligencja nie jest już przyszłością, lecz teraźniejszością, a kompetencje cyfrowe stają się przepustką do kariery. AI może ułatwiać także codzienne życie – od planowania zadań po tworzenie treści – dlatego warto się jej uczyć. Jak? Mądrze i bezpłatnie, dzięki inicjatywom realizowanym przez uznane instytucje i partnerów technologicznych, gwarantujących rzetelną i nowoczesną edukację.

Jak zacząć przygodę z AI?

Skoro sztuczna inteligencja staje się kluczową kompetencją na rynku pracy i w codziennym życiu, warto wiedzieć, gdzie można zdobyć tę wiedzę w praktyczny sposób. Jednym z ciekawych rozwiązań jest program „Przyszłość zaczyna się dziś”, przygotowany przez renomowaną organizację edukacyjną Digital University, która od lat popularyzuje wiedzę o nowych technologiach i wspiera rozwój kompetencji cyfrowych w Polsce. Kurs wprowadza uczestników w świat sztucznej inteligencji, w sposób praktyczny pokazując, jak wykorzystać AI zarówno w pracy, jak i w codziennym życiu. Uczestnicy mogą eksperymentować, realizować własne projekty i poznawać narzędzia, które ułatwiają organizację zadań, analizę danych czy tworzenie treści. Choć program jest dostępny dla wszystkich, szczególnie kierowany jest do nauczycieli, dyrektorów szkół, uczniów oraz uchodźców z Ukrainy. Od grudnia pojawiają się dwie nowe ścieżki: wersja w języku ukraińskim oraz kurs poświęcony wykorzystaniu AI w biznesie i codziennych



czynnościach. To odpowiedź na rosnące zapotrzebowanie na kompetencje, które pozwalają sprawniej prowadzić firmę, pracować z dokumentami i korzystać z technologii w praktyce.

AI w projektach społecznych – młodzi tworzą realne zmiany

AI ma praktyczne zastosowania nie tylko w biznesie – młodzi ludzie używają jej, by zmieniać rzeczywistość. Program „AI w projektach społecznych” to przykład, jak technologia wspiera inicjatywy od edukacji ekologicznej po walkę z dezinformacją. Realizowany przez Fundację Zwolnieni z Teorii we współpracy z Microsoft, kurs dostępny na platformie zwolnienizteorii.pl opiera się na praktycznych ćwiczeniach i pokazuje, jak korzystać z AI z głową: traktować ją jako asystenta, krytycznie analizować treści i projektować rozwiązania z myślą o człowieku. Uczniowie przygotowują własne projekty społeczne,

a sztuczna inteligencja pomaga im radzić sobie z trudnościami na każdym etapie realizacji. Nowością jest grywalizacja, która ruszy w styczniu 2026 roku i pozwoli szkołom zdobywać punkty za ukończenie kursu „AI w edukacji”. Najlepsze zespoły odwiedzą warszawskie biuro Microsoft, by poznać kulisy pracy w globalnej firmie i przyszłość technologii w edukacji. To inicjatywa, która łączy naukę z praktyką i pokazuje, że sztuczna inteligencja może być narzędziem realnej zmiany społecznej.

Technologia dla lokalnych społeczności

AI coraz częściej wspiera działania lokalnych organizacji, które potrzebują prostych i skutecznych narzędzi do pracy. Jednym z przykładów jest kurs „Wprowadzenie do AI z Microsoft”, realizowany przez Fundację Rozwoju Społeczeństwa Informacyjnego w ramach programu Sektor 3.0. To inicjatywa skierowana do organizacji takich,

jak OSP, harcerze czy koła gospodyń, które na co dzień potrzebują rozwiązań ułatwiających komunikację, tworzenie materiałów, rozliczanie projektów czy organizowanie wydarzeń. Technologie oparte na sztucznej inteligencji idealnie odpowiadają na te potrzeby, zwiększając efektywność i oszczędzając czas. Program oferuje nie tylko kursy online, ale także szkolenia stacjonarne w małych miejscowościach i gminach. Zajęcia prowadzone są przez trenerów Fundacji przy wsparciu zespołu Microsoft Data Center, co gwarantuje wysoki poziom merytoryczny i praktyczne podejście. Dzięki takim inicjatywom AI staje się narzędziem, które wspiera rozwój lokalnych społeczności i realnie rozszerza wachlarz ich możliwości.

Bezpieczna szkoła przyszłości – program dla szkół

Nauczyciele, pedagodzy i uczniowie mogą zdobywać

wiedzę o sztucznej inteligencji dzięki programowi „Nauka z AI. Ucz, twórz i chroń – z AI w bezpiecznej szkole przyszłości”, przygotowanemu metodycznie przez Microsoft, z myślą o Zintegrowanej Platformie Edukacyjnej Ministerstwa Edukacji Narodowej. Program oferuje trzy specjalistyczne kursy: „Metodyczne wykorzystanie wybranych narzędzi sztucznej inteligencji”, „Edukacja matematyczna w oparciu o wybrane narzędzia AI” oraz „Cyberbezpieczne środowisko w szkole”. Materiały zostały opracowane z udziałem polskich nauczycieli, co gwarantuje ich wysoką jakość i zgodność z potrzebami szkół. Wkrótce każdy pedagog w Polsce będzie mógł skorzystać z kursów poprzez Zintegrowaną Platformę Edukacji (ZPE), a już dziś dostępna jest „rozgrzewka”, czyli wyzwanie, w którym można zdobyć wiedzę z zakresu krytycznego myślenia

w serwisie [Microsoft Learn](https://microsoft.com/learn). To inicjatywa, która nie tylko rozwija kompetencje cyfrowe, ale także uczy bezpiecznego i odpowiedzialnego korzystania z technologii w edukacji.

Dlaczego warto zacząć już teraz?

Darmowe kursy i programy edukacyjne to realna szansa na zdobycie umiejętności, które już dziś są potrzebne w pracy i w codziennym życiu. Dzięki nim nauczyciele, uczniowie, lokalne organizacje czy osoby aktywne zawodowo mogą w prosty sposób poznać narzędzia AI i nauczyć się korzystać z nich odpowiedzialnie. Warto zacząć od jednego z dostępnych kursów – online lub stacjonarnie – i sprawdzić, jak sztuczna inteligencja może ułatwić planowanie, tworzenie treści czy realizację projektów. To praktyczny krok w stronę kompetencji przyszłości, który każdy może zrobić już teraz.

BIOGRAFIA

Mizogin i seksista,
którego uwielbiały kobiety

Najciekawsze w biografii Alaina Delona (1935-2024) są rzecz jasne te fragmenty, które odnoszą się do jego romansów. A że wszystkie jego kochanki trudno zliczyć, trzeba poprzestać na tych, które były przezeń najbardziej pokrzywdzone i pomijane.

Żony, kochanki i inne

W wydanej właśnie albumowej biografii aktora „Buntownik i legenda” pojawiło się kilka z nich. Pójdźmy śladem słynnych Delonowskich niewiast, o których on sam mówił cokolwiek lekceważąco: „przez całe życie kobiety same pchały mi się do łóżka, i nie chciały z niego wyjść, nawet gdy je policzkowałem”.

Małżonkę aktora - Nathalie Canovas-Delon, z którą miał syna Anthony'ego - zostawmy na boku jako postać zbyt oczywistą. Podobnie Rosalie van Breemen, z którą nie był żonaty, ale z którą miał syna Alaina-Fabiena i córkę Anouchkę. Dalej - historię romansów Delona z Romy Schneider, Mireille Darc, Laną Wood, Jane Birkin i Brigitte Bardot i Dalidą zna każdy, więc nie ma co wspominać.

Relacje z Barbarą Kwiatkowską-Lass to bardziej sprawa legendy i polskich kompleksów, niż realności. W 1961 r. zagrali razem w „Co za radość żyć”, a nawet stworzyli na planie wyrazisty duet, żadne z nich nigdy publicznie nie potwierdziło romansu. Jego pilnowała Romy Schneider, a jej Roman Polański.

Mówisz po niemiecku?

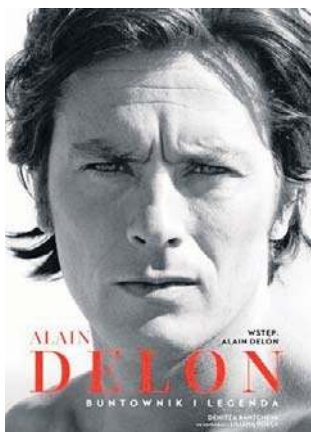
Dość tajemniczą sprawą jest romans Delona z Nico, a właściwie Christą Päffgen, niemiecką modelką, piosenkarką, jedną z muz Andy'ego Warhola. Zasłynęła swego czasu jako mroczna wokalistka The Velvet Underground. Z Delonem miała syna, Christiana Aarona Boulogne'a, którego aktor - jak przystało na francuskiego dandysa - nigdy prawnie nie uznał i do końca nie chciał znać.

Czy Delon rozmawiał z Nico po niemiecku, którego to znajomością często się chwalił? Jeśli tak, to dogadywał się też z Marisą Mell, austriacką aktorką, gwiazdą „Zagadki czerwonej orchidei”. A właściwie klócił, bo ten romans był wyjątkowo burzliwy. I bez konsekwencji, jeśli nie liczyć rozbicia głowy Delona hotelowym wazonem.

Dobranoc, Anne

W wieku 46 lat Delon zapalał namiętnością do Anne Parillaud, która miała wówczas lat 20 i była młodszą o pokolenie. Zaproponował jej główną rolę w swoim filmie „Za skórę gliny” i wizytę w łóżku. Plotka powiada, że gdy aktora nie było w domu (miał zobowiązania wobec innych kobiet), Parillaud spała przed drzwiami. Dlaczego? Bo nie miała klucza. Przyłapaną przez paparazzich tłumaczyła niezmiesszana, że lubi spać w takich miejscach.

Prawie zupełnie nieznanym epizodem w CV Alaina Delona jest jego związek z francuską aktorką Maddly Bamy. Poznali się podczas kręcenia „Sztuki kochania”, którego Bamy była współscenarzystką, a w którym Delon grał główną rolę. Bamy była jedną z niewielu, która nie dawała się kiwać Delonowi - bardziej wolała Jacquesa Brela, innego łamacza damskich serc. **grab**



Denitza Bantcheva, Liliana Rosca, „Alain Delon. Buntownik i legenda”, wyd. Familjne 2025, cena 169,90 zł

WIEŚCI NIE Z TEJ ZIEMI

DODA

Dobitnie mówi
o hejcie

Doda jest postacią, która wśród Polaków wzbudza spore emocje. Jak zdradziła, przyzwyczaiła się do tego, że jest hejtowana.

- Z hejtem jestem za pan brat, odkąd weszłam do show-biznesu jako młoda dziewczyna, więc też staram się robić z tego bardziej trampolinę niż jakiś przygniatający ciężar. Wielokrotnie próbowano mnie wykluczyć. Miałam bany dziesięcioletnie, paroletnie - czy to w stacjach, czy to w radiach. To nie są powody do tego, żeby przestać robić swoje - zapewniła.

W rozmowie z „Telemagazynem” piosenkarka dodała, że już od dziecka widziała się na scenie, a nie w rodzinnym Ciechanowie. - Po prostu od dziecka w ogóle nie widziałam się w Ciechanowie i w nie widziałam się w innej pracy niż scena. Od początku miałam taką, a nie inną osobowość: bardzo barwną, kolorową, do przodu. Zresztą to będzie widać w filmie dokumentalnym o mnie, który kręci Amazon - powiedziała.

GRZEGORZ KRYCHOWIAK

Kulisy życia
poza boiskiem

Na SkyShowtime zadebiutował dokument „Krychowiak: krok od szczytu”. Na oficjalnej premierze serialu dokumentalnego Grzegorz Krychowiak zdradził, dlaczego warto poświęcić czas na tę produkcję. Piłkarz podkreśla, że to nie będzie typowa opowieść o sukcesach na boisku.

- To będzie podsumowanie mojej kariery, wszystkich momentów oraz tego, jak reagowali na nie moi bliscy, rodzina. Zobaczymy zupełnie innego Grzegorza Krychowiaka niż tego, którego mogliśmy oglądać na boisku albo słuchać w wywiadach. Robię to w nieklasyczny i szczyry sposób - wyznał były piłkarz.

SKOLIM

Nie tylko
król latino

Konrad Skolimowski znalazł sposób, by swoje „pięć minut” przekuć w sukces i jeszcze na tym zarobić. Nie tylko ma



FOT. JAKUB STEINBORN

Doda przyznaje, że wielokrotnie była hejtowana. - To nie są powody do tego, żeby przestać robić swoje - mówi

grafik wypełniony po brzegi i z jednego występu na drugi musi się przemieszczać helikopterem, ale jest także pomysłowym biznesmenem.

Niedawno piosenkarz ruszył z własną stacją paliw. Uruchoił ją w miejscowości Czechowice na Podlasiu. Jak zdradził na swoim Instagramie, poza tym, że będzie można za tankować w bardzo konkurencyjnych cenach, to lada moment właśnie tam będzie można kupić jego perfumy. Piosenkarz wykorzystał także okres poprzedzający święta Bożego Narodzenia: wypuścił do sprzedaży kalendarz adwentowy z czekoladkami i swoim zdjęciem. Cena? 89 zł.

MIKOŁAJ „BAGI”
BAGIŃSKIRazem
na salonach!

Zwycięzca ostatniej edycji „Tańca z gwiazdami” Mikołaj „Bagi” Bagiński pojawił się na premierze „Zwierzogrodu 2”. Co ciekawe, młodemu influencerowi, oprócz jego młodszej siostry, towarzyszyła również jego taneczna partnerka z parkietu Magdalena Tarnowska! Ich widok razem poza tanecznym parkietem z pewnością będzie dla wielu sporym zaskoczeniem. W trakcie udziału w „Tańcu z gwiazdami” nie brakowało spekulacji na temat tego, czy łączy ich coś więcej niż tylko udział w programie, czemu oboje zgodnie zaprzeczali. Czyżby jednak od tego czasu coś się zmieniło?

DAWID WOLIŃSKI

Sześciopak
dla Polaków

Dawid Woliński, juror programu „Top Model”, zaskoczył w rozmowie z „Telemagazynem” nietypowym pomysłem na przyszłość. Choć na razie to tylko luźna myśl, nie wyklucza, że kiedyś zostanie trenerem personalnym. - Jeszcze o tym nie myślałem, ale może to jest pomysł na kolejny sukces - przyznaje Woliński. Patrząc na jego sylwetkę i formę, trudno się dziwić planom na przyszłość.

MAGDA NAROŻNA

Zdradza sekret
metamorfozy

W polskim show-biznesie nie brakuje gwiazd, które zapisały na swoim koncie spektakularne metamorfozy. W tym gronie znajduje się m.in. Magda Narożna, który przez pewien moment gubiła kilogram za kilogramem. Dziś nie tylko wygląda rewelacyjnie, ale w mediach społecznościowych może zainspirować innych do zadbania o siebie. - Nawadniaj się, staraj się jeść jak najmniej przetworzonych produktów, postaw na zdrowe jedzenie. Regularność, sen, w moim przypadku aktywność fizyczna. Pamiętajcie, każdy z nas jest inny! Warto zacząć od małych kroków - radzi wokalistka Pięknych i Młodych.

HOROSKOP

Wodnik (20.01 - 18.02)

Dziś odważnie ruszysz na przód. Horoskop dzienny to wyraźna wskazówka, by zaufać intuicji. Dzięki temu spotka cię miła niespodzianka.

Ryby (19.02 - 20.03)

Drobne zmiany w planach przyniosą ci spore korzyści. Horoskop na dziś radzi słuchać serca i zachować spokój.

Baran (21.03 - 19.04)

Energia dnia sprzyja rozmowom. Horoskop dzienny na piątek zapowiada, że otwartość doprowadzi do ciekawych spotkań.

Byk (20.04 - 20.05)

Poświęć chwilę na refleksję. Horoskop dzienny zapowiada, że wyciszenie pozwoli ci dziś podjąć lepsze decyzje.

Bliźnięta (21.05 - 21.06)

Twoja kreatywność rozkwitnie. Horoskop na dziś to wyraźna wskazówka, by odważyć się pokazać światu swój wyjątkowy talent.

Rak (22.06 - 22.07)

Uporządkuj zaplanowane obowiązki. Horoskop dzienny na piątek mówi, że drobne gesty życzliwości zwrócą ci się szybciej niż myślisz.

Lew (23.07 - 22.08)

Harmonia wróci do relacji z innymi osobami. Horoskop dzienny wróży, że szczera rozmowa otworzy drogę do wzajemnego zrozumienia.

Panna (23.08 - 22.09)

Dziś poczujesz przyływ determinacji. Horoskop na dziś to wskazówka, by wykorzystać go mądrze i z rozwagą.

Waga (23.09 - 22.10)

Spontaniczność okaże się atutem. Horoskop dzienny na piątek podpowiada, by pozwolić sobie na odrobinę zdrowej wolności.

Skorpion (23.10 - 21.11)

Skupienie na celu przyniesie efekty. Horoskop na dziś radzi, by nie rezygnować mimo chwilowego zmęczenia.

Strzelec (22.11 - 21.12)

Twórcza inspiracja poprowadzi cię naprzód. Horoskop na dziś to wyraźna wskazówka, by dzielić się pomysłami z zaufanymi osobami.

Koziorożec (22.12 - 19.01)

Intuicja wskaże właściwą drogę. Horoskop dzienny na piątek to wskazówka, by zaufać sobie i nie bać się zrobić pierwszego kroku.

SŁOWNIK: AKAD. KASAI. LATONA. LETE. MODERATOR SKUA. TOT.

ROZWIĄZANIE: CUDZY BOL NIE SIĘGA SERCA.

Piszczyk zawita do Legnicy, Śląsk w Sosnowcu

Piotr Janas
x.com: @Piotr_K_Janas

Dziś o godz. 20:30 Miedź Legnica podejmie GKS Tychy trenera Łukasza Piszczka w meczu 18. kolejki Betclia 1 ligi. Śląsk Wrocław w tej serii gier zmierzy się z Wieczystą Kraków w Sosnowcu.

Dzisiaj rozpoczyna się runda rewanżowa w Betcliu 1 lidze. Potocznie nazywa się ją wiosenną, choć przywykliśmy, że w ostatnich latach regularnie dwie-trzy, a czasami nawet cztery kolejki rundy wiosennej rozgrywane są jeszcze jesienią. Nie inaczej będzie w tym roku. Każda z drużyn na zapleczu ekstraklasy rozegra jeszcze po dwa mecze.

Tak się złożyło, że Miedź Legnica ma przed sobą dwa domowe spotkania. W piątek

o godz. 20:30 podejmie przedostatni w tabeli GKS Tychy, z którym na inaugurację obecnego sezonu przegrała po szalonym spotkaniu na Górnym Śląsku 3:4. Paradoksalnie tyszanie stali się w ostatnich tygodniach jednym z najbardziej medialnych klubów w Betcliu 1 lidze, a przez chwilę mówiła o nich w cała piłkarska Polska. Wszystko przez fakt, że schedę po zwolnionym trenerze Arturze Skowronku przejął sam Łukasz Piszczyk. Dla 40-letniego dziś wybitnego reprezentanta Polski, który jako piłkarz Borussii Dortmund zdobył dwa mistrzostwa, trzy puchary i trzy superpuchary Niemiec, a także zagrał z nią w finale Ligi Mistrzów, to pierwsza praca w roli samodzielnego szkoleniowca na szczycie centralnym. Wcześniej był grającym trenerem trzecioligowego LKS-u Goczał-

kowice-Zdrój oraz asystentem Nuriego Şahina w BVB. W debiucie zaliczył lekki falstart, ponieważ w poprzedniej kolejce jego GKS przegrał ze Stalą Rzeszów 1:2.

W swoim drugim meczu na ławce trenerskiej zmierzy się z Miedzią Legnica przy Orle Białym, gdzie w tym sezonie nie wygrał jeszcze nikt. Czekając zatem podwójnie trudne zadanie. Mecz Miedź Legnica - GKS Tychy będzie można oglądać wyłącznie w internecie: w aplikacji mobilnej TVP Sport oraz na stronie sport.tvp.pl.

W sobotę z kolei plasujący się na 4. miejscu w tabeli Chrobry Głogów - jedna z rewelacji rozgrywek - zmierzy się z Odrą w Opolu (godz. 19:30). Podopieczni trenera Łukasza Bancelli na przestrzeni ostatnich dwóch miesięcy przegrywali tylko z drużynami z Krakowa: z Wisłą 0:1 oraz Wieczystą 1:2 przed tygodniem, z tym że jedną bramkę strzelili sobie sami. Pomarańczowo-Czarni na papierze będą faworytem sobotniego starcia w Opolu.

Dopiero w niedzielę swój mecz rozegra będący ostatnio w słabszej formie Śląsk Wrocław. Ekipa dowodzona przez trenera Ante Šimundžę po porażkach z ŁKS-em i Polonią Bytom zremisowała „wygrany” mecz z Pogonią Grodzisk Mazowiecki, tracąc zwycięstwo w 95. minucie.

W kadrze WKS-u zabrakło wówczas Damiana Warchoła i Jorge Yriarte, ale obaj mają być już do dyspozycji trenera w Sosnowcu, gdzie swoje domowe mecze rozgrywa Wieczysta.



FOT. KRZYSZTOF KAPICA

Trener Łukasz Piszczyk w swoim debiucie na ławce trenerskiej GKS-u Tychy musiał przełknąć gorycz porażki ze Stalą w Rzeszowie (1:2). Jak wypadnie dzisiaj w Legnicy?

Na jej ławce zadebiutuje nowy trener: Kazimierz Moskal.

Kto będzie górą? Pierwszy gwizdek w Sosnowcu w niedzielę o godz. 14:30. Transmisja na antenie TVP Polonia.

© P

18. KOLEJKA BETCLIA 1 LIGI

Dziś: Polonia Bytom - Górnik Łęczna (godz. 18), Miedź Legnica - GKS Tychy (g. 20:30).

Jutro: Odra Opole - Chrobry Głogów, Polonia Warszawa - Pogoń Siedlce, Ruch Chorzów

- Puszcza Niepołomice (wszystkie trzy mecze o godz. 19:30).

Niedziela: Znicz Pruszków - ŁKS Łódź (g. 12), Wieczysta Kraków - Śląsk Wrocław (g. 14:30), Wisła Kraków - Stal Mielec (g. 20:15).

Poniedziałek: Stal Rzeszów - Pogoń Grodzisk Mazowiecki (g. 17).

1. Wisła Kraków	17	39	44-14
2. Pogoń Grodzisk Maz.	17	32	36-25
3. Polonia Bytom	17	30	29-19
4. Chrobry Głogów	17	28	24-16
5. Śląsk Wrocław	17	28	30-27

6. Stal Rzeszów	17	27	28-28
7. Wieczysta Kraków	17	26	35-26
8. Polonia Warszawa	17	26	26-26
9. Ruch Chorzów	17	24	26-26
10. ŁKS Łódź	17	24	26-27
11. Miedź Legnica	17	24	27-34
12. Pogoń Siedlce	17	22	21-17
13. Odra Opole	17	22	18-19
14. Puszcza Niepołomice	17	18	19-21
15. Stal Mielec	17	13	20-35
16. Znicz Pruszków	17	13	18-39
17. GKS Tychy	17	12	23-36
18. Górnik Łęczna	17	10	20-35

Z ogromnym żalem i wielkim smutkiem zawiadamiamy, że 25 listopada 2025 roku odszedł od nas nasz Najdroższy

†
Ryszard Tusk

Uroczystości żałobne odbędą się w poniedziałek, 1 grudnia 2025 roku.

Msza św. o godzinie 10.30 w kościele Zmartwychwstania Pańskiego w Gdańsku Strzyży, przy ulicy Gomółki. Pogrzeb o godzinie 12.30 w Nowej Kaplicy na Cmentarzu Srebrzysko.

Pograżeni w ból i żalobie
Anna, Filip i Alina

REKLAMA

0011246076

dziennikbaaltycki.pl/nekrologi

Nekrologi, kondolencje

przyjmowane są od poniedziałku do piątku w godzinach 8.30-15.30

- bezpośrednio w Biurze Ogłoszeń, **Gdańsk, Połęż 3, tel. 58/300 32 11**
- drogą mailową: nekrologi@prasa.gda.pl
- poprzez Internetowe Biuro Ogłoszeń ibo.polskapress.pl
- w zakładach pogrzebowych współpracującymi z Dziennikiem Bałtyckim
 - **PPU Zielen, Gdańsk, Partyzantów 76** www.zielen.pl, tel. 58/341-20-71 do 73
 - **ZDiZ w Sopocie Cmentarz Komunalny, Malczewskiego 31** tel. 58/551-03-50, biuro@cmentarz.sopot.pl
 - **Zarząd Cmentarzy Komunalnych w Gdyni** ul. Witomińska 76, tel. 58/660-89-50, www.zck.pl

 **nekrologi.net**

DROBNE

Jak zamieścić ogłoszenie drobne? Telefonicznie: 800-472-852, 58 300 32 17 i zapłać kartą kredytową
Przez internet: ibo.polskapress.pl
W Biurze Ogłoszeń - **Gdańsk**, Połęż 3, tel. 58/3003 211

Nieruchomości

DOMY - KUPIĘ

ODKUPIĘ współdział
w nieruchomości, cała Polska
518503404

GARAŻE

GARAŻ do wynajęcia Straszyn,
601-667-683

AUTOREKLAMA

ibo TWOJE DOMOWE BIURO OGŁOSZEŃ

Ogłoszenia drobne
w Twojej gazecie zlecisz bez wychodzenia z domu przez Internetowe Biuro Ogłoszeń

ibo.polskapress.pl

Motoryzacja

SAMOCZODY OSOBOWE - KUPIĘ

ABA auta całe, uszkodzone
kupię zaniedbane powypadkowe.
Najlepiej płacimy, całe pomorskie
514-514-610

Usługi

BUDOWLANO-REMONTOWE

AWARIE - dachy, blachy, kominy, papy,
rynny, malowanie; 517-744-487

Sufity Podwieszane: Napinane,
Kasetonowe, Rastrowe, Gipsowe,
Ścianki Gipsowe "Sufitex"
604-944-094, 58-558-25-65 www.sufitex.pl

ŻALUZJE. Rolety 501-005-692

MONTAŻOWE

DRZWI wejściowe, pokojowe.

Kompleksowa wymiana drzwi: pomiar,
sprzedaż, montaż 602 649 006

OGRODNICZE

WYCINKA drzew i samosiej
tel. 723-894-857

Turystyka

KRAJ

GÓRY

Beskidy koło Wadowic -
tradycyjne turnusy Świąteczne,
tel.: 501-642-492.

Rolnicze

MASZYNY ROLNICZE

KUPIĘ ciągniki, przyczepy, maszyny
rolne. Tel. 535135507.

INNE

NAWOZY NPK, MG, S, N 6%, P 16%,
K 28%, S 9%, MG 7% Cena 2.150 zł/
tona, 500-669-621

Matrymonialne

BIURO "Serduszka Dwa" 883-783-782

Różne

SKUP KSIĄŻEK, 668-571-329

W Ruce „żelazna szóstka” trenera Macieja Maciusiaka

Jacek Kmieciak
redakcja@polskapress.pl

SKOKI NARCIARSKIE. W nadchodzący weekend odbędą się konkursy Pucharu Świata w fińskiej Ruce. Polacy wystąpią w tym samym składzie co w Lillehammer i Falun.

Trener kadry polskich skoczków Maciej Maciusiak po zakończeniu śródkowego konkursu w Falun ogłosił skład Białe-Czerwonych na zawody w Ruce. Na Rukatunturi HS 142 rywalizować będzie „żelazna szóstka”: Dawid Kubacki, Kamil Stoch, Kacper Tomasiak, Paweł Wąsek, Piotr Żyła i Aleksander Zniszczoł.

Zniszczoł dostał kolejną szansę

Nieoczekiwana może być obecność tego ostatniego, który mimo dwóch startów w Lillehammer i dwóch w Falun, nie zdobył nawet punktu. Mimo to sztab szkoleniowy kadry nie odesłał 31-latkę do Polski, a postanowił, by Zniszczoł w spokoju skupił się na trenin-gach i powrocie do formy.

W drugim konkursie na dużej skoczni w Falun w pierwszej serii Polacy wpisali się w dotychczasową średnią. Choć może nieco poniżej normy, bo wcześniej nasi zawodnicy bywali na półmetku w top 10.

Stoch i Tomasiak nie zawodzą

Najlepsze pierwsze skoki mieli Tomasiak i Stoch (odpowiednio 18. i 20. miejsce), znów nieco przed resztą naszej kadry. Dwóch kolejnych awansowało do drugiej serii z lokatą pod koniec trzeciej dziesiątki -



FOT. EPA/PAP

W Falun najlepiej spośród Białe-Czerwonych spisał się najmłodszy, 18-letni skoczek Kacper Tomasiak

tym razem to Żyła i Kubacki (29. i 30.), a jeden odpadł (Wąsowski brakło niewiele, był 31.).

Drugie skoki Polaków statystycznie były lepsze i poprawiły się wyniki. Kubacki zanotował progres o 2 pozycje (na 28.), Żyła zachował 29. miejsce. Inni nasi zawodnicy skoki też mieli nawet bardzo dobre - o 4 „oczka” wyżej przesunął się Stoch na 16., o trzy Tomasiak - 15. Ten ostatni w Falun znów był najlepszy w naszej ekipie.

Niespodziewana zmiana lidera „generalki”

Zawody wygrał Słoweniec Anže Lanisek (który został też liderem Pucharu Świata)

przed Austriakiem Stephanem Embacherem oraz drugim Słowenem na podium Domenem Prevcm. Słabiej tym razem spisał się wtorkowy zwycięzca na skoczni normalnej w Falun Austriak Stefan Kraft, który zajął dopiero 9. miejsce, co kosztowało go utratę pozycji lidera klasyfikacji generalnej.

W „generalce” najwyżej z Białe-Czerwonych jest Stoch na 12. miejscu. Tomasiak zajmuje 15. pozycję, Kubacki jest 25, Żyła - 30, a Wąsek - 34.

W klasyfikacji Pucharu Narodów przewodzi zdecydowanie Austria przed Słowenią i Japonią. Polska zajmuje 5. miejsce za Niemcami.

Maciusiak obiecuje atak na „dziesiątkę”

- Wynikowo można powiedzieć, że średnio - ocenił śródkowy występ Polaków w Falun trener Maciusiak. - Ale byliśmy blisko tego, żeby w dzisiejszym konkursie, czyli na dużej skoczni, było pięciu zawodników (w finałowej trzydziestce). Pechowe 31. miejsce Pawła (Wąska). Ale wielkie gratulacje kolejny raz dla Kacpra Tomasiaka, który skacze swoje, mimo że tym razem ten pierwszy skok troszeczkę mniej udany, ale ogólnie na przyzwoitym poziomie. Piotrek (Żyła) zrobił mały postęp, jeśli chodziło o te skoki z rana. Dawid Kubacki myślę, że potrzebuje trochę więcej luzu, jak i cała reprezentacja. I kolejny dobry występ Kamila Stocha, chociaż na pewno stać go na skoki w pierwszej dziesiątce, co już udowodnił podczas niektórych prób, ale to jeszcze za mało. W Ruce zrobimy wszystko, żeby to zmienić, żeby było więcej tego luzu, żeby powalczyć również o czołową dziesiątkę. Jeśli chodzi o skład, również ze względów logistycznych, pozostaje ten sam - przyznał trener kadry.

Gdzie i o której oglądać zawody w Ruce?

Dzisiaj zawodników czeka oficjalny trening (godzina 14.45) oraz kwalifikacje (17.15). W sobotę seria próbna odbędzie się o godzinie 14.00, a konkurs zaplanowano na 15.05. W niedzielę kwalifikacje odbędą się o godzinie 9.00, a pierwsza seria konkursowa rozpocznie się o 14.50. Transmisje przeprowadzi Eurosport, TVN (tylko z konkursów) i HBO Max. ©©

„Don Pietro” rozwinął skrzydła w Lidze Mistrzów i zachwycił Włochów

Jakub Jabłoński
redakcja@polskapress.pl

PIĘKA NOŻNA. To był zdecydowanie wieczór (choć przegrany) Piotra Zielińskiego.

Gol pomocnika Interu Mediolan Piotra Zielińskiego z 54. minuty z Atletico Madryt był jego pierwszym w obecnym sezonie Ligi Mistrzów. Poprzednio rumuński trener Cristian Chivu nie dawał Polakowi aż tyle czasu na pokazanie umiejętności. W sumie, w elitarnych rozgrywkach UEFA, etatowy pomocnik reprezentacji Polski strzelił 8 goli.

31-letni rozgrywający w śródkowy wieczór na madryckim Wanda Metropolitano spisał się znakomicie, co znalazło odzwierciedlenie w wysokich ocenach i pochwałach po meczu. Choć został zdjęty już w 65. minucie z powodu problemów z udem, był zdecydowanie najlepszym piłkarzem na boisku. Portal SofaScore przyznał mu notę 7,6, a poza golem wyróżnił się także imponującą dokładno-

ścią podań - sięgającą aż 93 procent (37/40).

Calciomercato.it zauważył, że po przeciętnym początku w klubie „Zielek” wyrasta w takich meczach na generała środka pola i staje się pełnoprawnym, wartościowym zawodnikiem. Virgilio.it stwierdziło, że mimo ograniczonej liczby minut jest cennym elementem. „Przez godzinę świetnie wykonywał swoją robotę, a potem pojawił się w polu karnym w odpowiednim momencie - gol na 1:1 był świetny” - ocenił włoski Eurosport, przyznając mu ocenę 6,5.

Bramka Zielińskiego na nic się jednak zdała, bo Atletico w dolnym czasie gry przechrzyło szalę na swoją stronę. Urugwajski obrońca Jose Maria Gimenez wyskoczył o głowę wyżej od rywala i precyzyjnym uderzeniem pokonał bramkarza Interu Mediolan Yanna Sommera.

Była to pierwsza porażka Interu w trwających rozgrywkach. Dotychczas, podobnie jak PSG i Arsenal, „Nerazzurri” mogli pochwalic się kompletem punktów. ©©



FOT. EPA/PAP

Rozgrywający Interu Piotr Zieliński w walce o piłkę z pomocnikiem Atletico, Conorem Gallagherem

Wisła-Malinka cieszy się z zimy i czeka na konkursy Pucharu Świata

Rafał Musioł
r.musiol@dz.com.pl

SKOKI NARCIARSKIE. Jeszcze w ubiegłym tygodniu organizatorzy PŚ w Wiśle rozważali organizację konkursów hybrydowych. Teraz śniegu mają pod dostatkiem.

Weekend z Pucharem Świata w Wiśle rozpocznie się 4 grudnia. Tego dnia o 12 odbędą się kwalifikacje, a o 17.15 konkurs kobiet. W piątek (panie będą się kwalifikować o 10, a o punkty walczyć o 11.30. Wieczorem

o 20.15 zaplanowano kwalifikacje mężczyzn do sobotniego (g. 14.45) konkursu. W niedzielę 7 grudnia kwalifikacje mężczyzn o 12.55, a konkurs o 14.25.

Organizatorzy z ulgą przyjęli opady śniegu, jaki zasypał Wisłę w ostatnich dniach.

- Naśnieżanie właściwie zakończyliśmy, teraz pracujemy nad rozprowadzeniem śniegu. Według naszych obliczeń i dużego już doświadczenia organizacyjnego z ostatnich lat, jest go wystarczająco, aby zawody odbyły się w dobrych warunkach, w prawdziwie zimowej scenie-



FOT. POLSKI ZWIĄZEK NARCIARSKI

Skocznia imienia Adama Małysza jest już niemal gotowa na przyjęcie skoczków i skoczek

rii. Będziemy jednak sytuację uwzględniając oczywiście kwestię zmienności pogody. W razie czego mamy pewien zapas na Kubalonce, z którego możemy skorzystać - oświadczył prezes Śląsko-Beskidzkiego Związku Narciarskiego.

Na sobotni konkurs biletów już nie ma, co oznacza komplet 6.000 widzów.

- Wielce prawdopodobne, że i w niedzielę frekwencja okaże się podobnie wysoka - twierdzi Andrzej Wąsowicz.

Sprzedaż wejściówek prowadzi platforma eбилет.pl. ©©

SPORT

www.sportowy24.pl

PIŁKA NOŻNA

**Piłkarze Arki Gdynia w niedzielę zmierzą się z wicemistrza-
mi Polski.** Raków Częstochowa będzie kolejnym rywalem
żółto-niebieskich w rozgrywkach PKO Ekstraklasy. Niedzielny
meczek rozpocznie się przy Olimpijskiej o godz. 14.45. Goście
to klub, który w ostatnich pięciu sezonach aż cztery razy sta-
wał na podium ligowym. Wyzwanie przed Arką jest więc du-
że. (raf)



FOT. P. ŚWIDERSKI

PIŁKA NOŻNA

Lechia gra z Bruk-Betem.
Gdańszczanie w sobotę
o godz. 14.45 podejmą Bruk-
Bet Termalikę Nieciecza. To
szalenie ważny mecz, gdyż
„Słoniki” są w strefie spadko-
wej, a Lechia chce ich wy-
przedzić w tabeli. (raf)

Gdyńska energia uskrzydli Orły

Rafał Rusiecki

rafal.rusiecki@polskapress.pl

**KOSZYKÓWKA. Dzisiaj o godz.
20.45 w hali Polsat Plus Are-
na Gdynia reprezentacja
Polski rozpocznie meczem
z Austrią eliminacje do mi-
strzostw świata w Katarze.**

- Za dwa lata mamy mistrzo-
stwa świata, na których
chcemy być i to okenko jest
niewiarygodnie ważne. Termi-
narz mamy taki, że najpierw
mamy Austrię w domu, a na-
stępnie Holandię na wyjeździe.
Na pewno nie jest łatwo pokona-
ć ich na wyjeździe. Chcemy,
abyście byli przygotowani
na to, że idziemy po coś du-
żego. Nie ma możliwości, że się
rozluźnimy. Bierzemy to lub gi-
niemy. Taką mentalność chcę
widzieć. Wiem, że to nie jest łat-
we, ale tak to wygląda. Doce-
niam to, co dokonaliśmy do tej
pory, ale musimy o tym zapo-
mnieć. Musimy mieć pewność,
że możemy zrobić kolejne duże
rzeczy. Musimy przy tym pa-
miętać, co przed nami i jak
do tego właściwie podejść - ta-
kimi słowami zwrócił się do ko-
szykarzy reprezentacji Polski
Igor Milicić.

Selekcjoner w Gdyni zebrał
zawodników, z którymi roz-
pocznie dwa ważne spotkania
eliminacji do mistrzostw świata
2027. Koszykarze od ponie-
działku trenują w hali Polsat
Plus Arena Gdynia. Mieszkają
w hotelu Różany Gaj na Ka-
miennej Górze, skąd mają do-
słownie rzut beretem do słyn-
nego bulwaru.



FOT. WOJCIECH FIGURSKI/KOSZKADRA.PL

**Selekcjoner Igor Milicić w Gdyni pracuje z 13
zawodnikami, którzy wystąpią z Austrią i Holandią**

Dziś pierwszy test
przed biało-czerwonymi.
W wypełnionej do ostatniego
miejsca hali o godz. 20.45 roz-
poczyna mecz eliminacyjny
z Austrią. Mierząc potencjał
sportowy rankingiem FIBA
obie drużyny narodowe dzieli
duża różnica. Polska jest 19 siłą
tego zestawienia, a Austria 68.
Bukmacherzy również nie
przewidują w Gdyni niespod-
zianki, wyraźnie obstawiając
szanse gospodarzy.

Wyczekiwany debiut

Koszykarskiej reprezentacji
Polski zależeć będzie na do-
brym rozpoczęciu pierwszego
etapu kwalifikacji na mistrzo-
stwa świata. Dobrego
pod względem wyniku, jak
i stylu gry. Na debiut w naszej

kadrze czeka Amerykanin Jer-
rick Harding, rozgrywający BC
Rytasu Wilno.

- Wszyscy się cieszymy, że
Jerrick do nas dołączył. Wie-
rzymy, że naprawdę może
nam pomóc. Znamy jego ja-
kość, więc to super, że jest
z nami. Wszyscy wiemy też,
jak trudno jest wygrywać
na międzynarodowym pozio-
mie. Większość z nas już w ta-
kiej sytuacji się znalazła.
Przed nami bardzo długa
droga. To bardziej maraton,
jak powiedział trener, bo
do Kataru kwalifikacje po-
trwają dwa lata. Na pewno
w tym czasie będą wzloty
i upadki. Wierzę, że mamy od-
powiednią jakość. Zgodzę się
też, że po tym, co pokazywali-
śmy do tej pory na dużych tur-



FOT. WOJCIECH FIGURSKI/KOSZKADRA.PL

**Rozgrywający Łukasz Kolenda wrócił do Trójmiasta z Rostocku, gdzie gra w zespole
Seawolves**

niejach, rywale będą na nas
dobrze przygotowani. Nie je-
steśmy już anonimowym ze-
społem. W wielu spotkaniach
będziemy faworytami, więc
musimy być twardzi. Każdy
z nas musi walczyć o każdą
piłkę, o każdy mecz, o każdą
minutę w meczu, aby potwier-
dzić, że nadal jesteśmy zespole-
m, który ma za sobą udany
występ na EuroBaskecie - mo-
tywował swoich kolegów Ma-
teusz Ponitka, kapitan koszy-
karskiej reprezentacji Polski.

Powroty do Gdyni

Do Gdyni wrócił m.in. Łu-
kasz Kolenda. Były rozgrywa-
jący AMW Arki Gdynia, a wcze-
śniej przez lata Trefla Sopot,
obecnie realizuje się w niemiec-
kim Rostock Seawolves.

- Kiedy jest się zawodni-
kiem poza Polską, to wiąże się
z tym większa odpowiedzial-
ność. Wszyscy patrzą na ręce
i trenerowi (gdynianin Przemysław
Frasunkiewicz - przyp.) i mi,
żeby to dobrze funkcjonowa-
ło. Może się to wydawać
komfortowe, ale ja bym tak tej
sytuacji nie określił. Zawsze
jest dobrze przyjechać na zgru-
powanie kadry. Podejrzewam,
że do końca mojej przygody
koszykarskiej zawsze będzie
towarzyszyć temu wielkie
szczęście. Nigdzie indziej nie
ma takiej atmosfery, jaka jest
na kadrze. Ludzie się zmie-
niają, ale trzon tej drużyny za-
wsze jest utrzymany. Ta pozy-
tywna energia przekazywana
jest na każdą kolejną osobę,
która tu przyjeżdża. Nieważne

więc, w jakiej roli, ale zawsze
ważne, żeby mieć orzełka
na piersi - wyjaśniał we vlogu
Kosz Kadry Łukasz Kolenda.

Mecze koszykarzy dzisiaj
w Gdyni z Austrią (godz. 20.45)
i w poniedziałek w Hadze z Ho-
landią (godz. 19.30) transmito-
wać będzie TVP Sport.

SKŁAD REPREZENTACJI POLSKI

Jakub Garbacz (AMW Arka Gdynia); Tomasz
Gielo (King Szczecin); Jerrick Harding (BC Ry-
tas Wilno); Łukasz Kolenda (Rostock Seawol-
ves); Błażej Kulikowski (WKS Śląsk Wrocław);
Kamil Łęczyński (AMW Arka Gdynia); Dominik
Olejniczak (Bertram Derthona Tortona); Ma-
teusz Ponitka (Bahcesehir Koleji Stambuł); Mi-
chał Sokółowski (Karsiyaka); Jakub Szumert
(Zastal Zielona Góra); Szymon Zapala (Energa
Trefl Sopot); Jarosław Zyskowski (AMW Arka
Gdynia); Przemysław Ziobrowicz (King
Szczecin)

Dwa sprawdziany w Gdańsku kobiecej reprezentacji Polski

Rafał Rusiecki

rafal.rusiecki@polskapress.pl

**PIŁKA NOŻNA. Dzisiaj o godz.
17.45 na stadionie Polsat
Plus Arena Gdańsk nasza
kobieca reprezentacja zagra
towarzysko ze Słowenią.**

- Takie mecze są dla nas szansą,
by budować stabilność, testowa-
ć różne rozwiązania i umacniać
naszą tożsamość. Słowenia
to zespół z dużym potencja-
łem. To drużyna, która z roku
na rok robi zauważalny postęp.
Świadomie się rozwija, ma co-
raz więcej zawodniczek w do-

brych europejskich klubach
i prezentuje bardzo zdyscypli-
nowany styl gry. Awans do elity
to potwierdza - mówi Nina Pa-
talon, selekcjonerka reprezen-
tacji Polski kobiet.

Wspomniany awans to prze-
skok z Dywizji B do A w Lidze
Narodów. Biało-czerwone wy-
grały swoją grupę, notując pięć
zwycięstw i remis, a Słowenki
swoją, zapisując na koncie pięć
wygranych i tylko jedną prze-
graną z Irlandkami.

- Słowenia to drużyna, która
naprawdę zrobiła duży krok
do przodu i potrafi narzucić
swoją rytm, więc czeka nas wy-



FOT. ŁUKASZ SKWIDOT

**Nasza kobieca reprezentacja zaprasza dzisiaj kibiców
na „Bursztynek”, gdzie zagra z drużyną Słowenii**

magające spotkanie. Dla nas to
kolejny etap pracy. Chcemy po-
kazać dobrą organizację gry, in-
tensywność i jakość, nad którą
pracujemy na każdym zgrupowa-
niu. Gramy u siebie, w Gdań-
sku, gdzie zawsze czujemy
ogromne wsparcie kibiców. To
dużo nam daje - przyznaje
Aleksandra Zaremba, obroń-
czyni reprezentacji Polski.

A, że w Gdańsku frekwencja
dopisuje, można się było prze-
konać podczas ostatniego me-
czu z Holandią, który przycią-
gnął na trybuny dokładnie
11022 kibiców. Spotkanie 24
października było rekordowe.

We wtorek nasza drużyna
narodowa przeniesie się
o cztery kilometry w Gdańsku
i wystąpi na stadionie
przy Traugutta 29. Tam wy-
branki selekcjonerki Niny Pa-
talon zmierzą się w towarzyskim
meczu z Łotyszkami. Mecz roz-
pocznie się o godz. 13.30 i bę-
dzie otwarty dla kibiców. Liczba
darmowych biletów jest ogra-
niczona.

W ostatnim występie w tym
roku publiczności zaprezen-
tować się będzie mogła m.in.
tczewianka Magdalena Sobal,
która jest napastniczką szwaj-
carskiego Servette FC.